

Jerzy Andruszkiewicz

280

ARCHIWUM WSCHODNIE

(nagrywał Wiesław I/B)

Nazywam się Jerzy Andruszkiewicz, urodzony 15 września 1925 w Baranowiczach. Moja matka pochodziła z Warszawy, ojciec spod samego Wilna. Mieszkaliśmy w Stołowiczach, ostatnio zaś w Bielicy. Chodziłem do publicznej szkoły, miałem wspaniałych nauczycieli, byli to przeważnie ochotnicy z 20 roku, którzy wychowywali uczniów w duchu patriotycznym. W Bielicy też wstąpiłem do drużyny harcerskiej. Naszym wychowawcą i harcmistrzem był nauczyciel Rudnicki. Jeździliśmy na obozy, gdzie uczyliśmy się za radności i samodzielności - nie tak, jak teraz, kiedy jedzie się na obóz, wszystko jest popłacone i załatwione. My musieliśmy najpierw zarobić pieniądze. Robiliśmy loterie fantowe, przedstawienia, chodziliśmy po bogatszych gospodarzach, zbieraliśmy fanty: książki, kurczaka jakiegoś, potem robiliśmy loterię przy kościele i mieliśmy pieniądze na obóz.

Pomagało nam w tym wojsko 77 Pułku Piechoty. Dawali nam sprzęt, namioty, kawę zbożową /taką w kostkach/, grzejniki, kotły, całe wyposażenie.

Znajomość tych lasów bardzo mi się przydała później, kiedy już byłem w Armii Krajowej, w partyzantce.

Nastał tragiczny rok 1939. Jako harcerze obsługiwaliśmy punkt obserwacji lotniczej. Koło posterunku policji była wybudowana wieża, na niej telefony i plansza do wykreślenia kierunku przelatujących samolotów. Armia Czerwona wkroczyła do nas już około 20. A przedtem władzę objęła samorzutnie milicja, przeważnie składająca się z Żydów. Nakładali sobie czerwone opaski, zabierali mienie państwowe, zatrzymywali niektórych ludzi.

Pierwsze kontakty z żołnierzami Armii Radzieckiej były zabawne. My, młodzi chłopcy, chcieliśmy uchodzić za dorosłych. Na widok tankietki prosiliśmy "dajcie zakurit". Czołgiści wyjmowali kawałek gazety, robili trąbkę, sypali do środka machorkę, zatykali tubkę palcem i dawali przypalać. Kiedyś zatrzymał się

jeden czołgista i pyta się, gdzie by to można kupić kołbasy. Wskazaliśmy mu sklep rzeźnika. Wtedy już wszystko podrożało; jeśli powiedzmy, przed wojną kilo kiełbasy kosztowało 2 zł, to wówczas już 3,50. Rosjanin rzucił rzeźnikowi 3 czerwonce /tzn. 30 rubli/ i zażądał kiełbasy. "Za ile?" pyta rzeźnik. "Za wsio". No i rzeźnik na małej szalkowej wadze zaczął ważyć jedno kilo, drugie, trzecie... Rosjanin pyta, co się dzieje. Ważę ci kiełbasy za wszystkie pieniądze, odpowiada rzeźnik. Potem chciał ją całą zawinać w papier, ale czołgista naniznął sobie pęta na rękę i pobiegł do czołgu wołając: zobacz Wańka, ile za trzy czerwonce ja kołbasy nakupił!

Nasze miasteczko leżało na skraju tego szlaku i nie było specjalnie dużych pochodów wojsk. Zaczynała się tworzyć władza. Bawilo nas, że czym starszy był komisarz, tym dłuższą bluzę sobie szył. Oni nie mieli mungurów, nie mieli garniturów - tylko bluzy. I szyli sobie u nas takie bluzy, coraz dłuższe, czasem aż za kolana.

Pamiętam tragiczny moment kiedyś - niedaleko Bielicy leżała miejscowość Ogrodniki, gdzie pewien Czech miał hutę szkła. Był życzliwy harcerzom, dawał nam różne swoje wyroby na loterię, pozwalał nam obozować w swoim lesie. I kiedyś już po wejściu Rosjan przywieziono tego Czecha odkrytym Zisem, otoczonego przez nkwudzistów, z neganami wetkniętymi za pas - złapali burżuja. I powieźli go do więzienia, do Lidy.

Jeszcze przed wkroczeniem Rosjan pojawili się komuniści którzy siedzieli w Berezie. Przypinał sobie taki czerwoną kokardkę, rekwirował bryczkę w jakimś dworze i jechał, jak panisko.

Niedaleko Bielicy było osiedle osadników, którzy otrzymali ziemię za udział w walkach 18 i 20 roku. Jak przyszły mrozy, jak się już ta władza utrwaliła - był to chyba początek stycznia - mroz dochodził do 40^o, dokonano masowej wywózki rodzin osadników, policjantów, oficerów, gajowych, leśniczych; na zarekwirowanych podwodach podjeżdżali do mieszkania, zabierali dzieci i kobiety i wywozili do odległej o 15 km stacji Sielce i tam ładowali do wagonów bydłowych. To była pierwsza wywózka. Na ludzi padł blady strach: wszyscy czuli się zagrożeni.

Wiosną zacząłem pracować. Na kresach drogi były robione z tłuczni, trzeba je było pielęgnować, posypywać żwirem itd. I ja to robiłem z jedną nauczycielką, żoną oficera, który poszedł na wojnę. Mieliśmy znajomego dróżnika i pracowaliśmy na wydzielonym odcinku. Często przyjeżdżał naczelnik tego uprzejmstwa, z kierowcą, ale ciągle nie miał pieniędzy, żeby nam zapłacić. Wreszcie kierowca mnie wyśmiał i poradził, żeby naczelnikowi zagrozić prokuratorem. Mnie taki pomysł wydał się najpierw niestosowny ale kiedy nam nie płacono, z czasem ośmieliłem się i zażądałem wypłaty od naczelnika, a kiedy mi powiedział, że ciągle jeszcze nie ma pieniędzy, obiecałem mu, że zwrócę się do prokuratora. No i poskutkowało: następnego dnia dostaliśmy pieniądze.

Minęło lato 1940 i nadchodzi rok 1941. Ja nie umiałem czytać po rosyjsku, nie mogłem czytać obwieszczeń i wobec tego zapisałem się do szkoły wieczorowej, gdzie wykładowcami przeważnie byli Żydzi. Nasi nauczyciele już częściowo byli wywiezieni, a części udało się przedostać do Warszawy, jeszcze przejazdy nie były trwale zablokowane przez ich pograniczników. I w 41 roku zaczęła się, przed samą wojną, druga wywózka. Przyjechali nawet do nas. My już od dawna byliśmy przygotowani na wywózkę: był w domu worek sucharów i spakowane tobozki, żeby nie być zasko-

czonym. I ostatniego dnia przed wojną była wywózka - przyjechali rano i kazali się z ierać. Ale potem sprawdzili nazwiska i powiedzieli, że przyjadą później. Zabrali wtedy kilku sąsiadów a po nas mieli przyjechać później - i już nie przyjechali, bo w niedzielę rano wybuchła wojna. Na naszych terenach Rosjanie budowali pasy obronne. Co 15 km zakładali lotniska, budowali zapory różne. W Jamontach, 5 km od naszego miasteczka, budowali lotnisko. Tam stał batalion zaporowy. 22 czerwca Niemcy zbombardowali Lidę ale u nas Niemców nie było bo nie znajdowaliśmy się na linii natarcia. Gdzieś tak we czwartek ludzie rozbili sklep i zabrali sól - na Kresach najważniejsza jest zawsze sól - dano znać enkawudzistom, którzy przyjechali i w polu zakłuli bagnietami kilku spośród tych, którzy zrabowali sól.

Koło nas mieszkała taka rodzina, z której syn służył w wojsku radzieckim ale z niego uciekł i zabrał jeszcze parę karabinów. Akurat siedzieliśmy z rodziną w stodołę, kiedy przyszedł do nas kuzyn jednego z tych zakłutych i opowiedział, co się stało. Nagle wpadają enkawudziści, z nimi politruk - wtedy politrucy jeszcze nosili gwiazdki - i mówią : dawaj gwintowki. Nie wiedziałem, o co chodzi, ale mógł ktoś z przechodzących żołnierzy - a ciągle ktoś prosił o wodę i o inne rzeczy - coś zostawić, zapomnieć, ja miałem tylko straszak. Niedaleko stodoły były doły na kartofle; na Kresach kartoli nie trzyma się w kopcach tylko w głębokich, dwumetrowych dołach, które wówczas stały puste. Jeden z enkawudzistów spytał politruka: to co, do dołu go? Ale politruk odparł, że nie wypada, rodzina patrzy, weźmiemy go do miasteczka. Ja się ucieszyłem, to mi dawało możliwość ucieczki po drodze. Już mnie prowadzili, gdy politruk spytał mnie o nazwisko. Mówię: Andruszkiewicz. A tam obok, to kto? Czygiry. A, to tot, sukinsyn. Rzucili mnie i tam polecieeli. To ja wtedy za uddę, na konia i poleciałem nad Niemen, który niedaleko od nas przepływał i tam był tzw wygon, gdzie ludzie, którzy się ukry-

5.

wali tam siedzieli sobie z końmi. Do domu już nie wróciłem, noc walczyłem na tym wygonie. I w niedzielę rano zawiadomiono nas, że Niemcy wkroczyli do miasteczka. Tzw. druga linia. Batalion rosyjski tam stacjonujący miał taki plan, żeby w razie wkroczenia Niemców przebić się przez tzw. pierwszą linię i lasami pójść w kierunku Mińska. I rzeczywiście tak było. Wkroczyli na most tam już byli Niemcy, wywiązała się potyczka i trzech Niemców zabito. Batalion poszedł w rozsypkę, żołnierze ukryli się w miasteczku. Następne niemieckie wkraczające oddziały, na widok sowieckich żołnierzy w miasteczku i zabitych Niemców zaczęły palić całą główną ulicę. Kogo złapali w radzieckich spodniach wojskowych czy z ostrzyżoną głową zgromadzili do rozstrzelania. Nazbierali takich ok. trzydziestu, dwudziestu mniej więcej zabili, kilku ciężko ranili a kilku było nieruszonych i wśród dymów i pożaru udało się im uratować.

Z jednego krańca miasteczka było widać drugi. Koło mego domu leżał porzucony rkm. Niemiec kazał mi zanieść ten rkm na drugi koniec i razem ze mną szedł. Po drodze zobaczyłem zamieszanie: to Niemcy spędzali wszytkich Żydów na wielki plac, który służył jako targowisko. Między innymi złapali naszego księdza - myśleli, że to rabin. Przeklinali: verfluchte Jude i pędzili go na przeciwległy koniec miasteczka. Dopiero tam ludzie powiedzieli im, że to ksiądz, i Niemcy go wypuścili. Natomiast wszystkim Żydom odczytali swoje okupacyjne zarządzenie o noszeniu gwiazdy, kłanianiu się Niemcom itd. Z rabinem urządzili sobie zabawę: czterech byczków go obstąpiło i straszili go bagnietami w taki sposób, że rabin, uchylając się przed ciosami tańczył jakby. Wtedy zaczęli robić sobie zdjęcia i śmiać się.

Zacząła się okupacyjna rzeczywistość. U nas nie było żadnej komendantury, tylko Niemcy zorganizowali posterunek i gminę. Nałożyli kontyngent, zaczęli wywozić młodzież na roboty do Niemiec i zaczęła wtedy tworzyć się konspiracja. Ja, znając miejsco-

we środowisko, szybko się zorientowałem, że do niektórych ludzi przychodzi zbyt dużo nieznanym, epostrzegłem, że coś się szykuje. I wymusiliśmy wraz z innymi kolegami żeby nas wciąż gnięto do organizacji. Teraz więcej rozumiałem, bo podczas okupacji sowieckiej byłem za młody. Wiedziałem, że niektórzy ludzie przechowują polskich oficerów zbiegłych z niewoli. Zresztą chyba nic więcej wtedy się nie działo. Czasem następowały jakieś aresztowania - ale wtedy jeszcze byłem za młody - nikt mi jeszcze nie dowierzał,

Kiedy zostałem zaprzysiężony pracowałem w ^{mleczarni}masarni. Na naszych terenach już wtedy zaczęła się tworzyć radziecka partyzantka. Dużo było ~~małych~~ gospodarstw bez mężczyzn, którzy poszli na wojnę i Niemcy pozwalali gospodyniom brać sobie jeńców do pomocy w gospodarstwie. Ale kiedy zaczęła się tworzyć ta partyzantka, zabrali tych jeńców spowrotem, żeby nie zasilać szeregów partyzantów. Jeńców wywieziono do Niemiec, ale część z nich uciekła po drodze. Pewnej nocy napadli oni na posterunek niemiecki i zniszczyli urządzenia w miejscowej mleczarni. Po tym incydencie przeniesiono posterunek i mleczarnię do Sielc, tam był tzw. Schutzpunkt, koło mostu kolejowego przez Niemen. Do nas przyjeżdżały tylko patrole.

Często podczas rozmów ze znajomymi powracał ostatnio temat wspomnień. I zastanawiałem się, czy to możliwe: po pół wieku odtworzyć tamten klimat, przeżycia, uczucia, strach, głód, trwający latami. Chyba to możliwe nie jest. Nawet, jeśli kiedyś się na to zdecyduje, to będą okruchy, odpryski. Czasami zastanawialiśmy się, jaka jest granica ludzkiej wytrzymałości, co decyduje o losie człowieka, kto nim kieruje. Jako wierzący mam tylko jedną odpowiedź - Bóg.

Po wkroczeniu Niemcy zaczęli tworzyć administrację. Robili to przy pomocy Polaków siedzących w więzieniach sowieckich, pokrzydzonych przez władze radzieckie i zaczęli ich osadzać

7.
na stanowiskach burmistrzów, wójtów, i to stworzyło dobre podłoże do tworzenia się placówek Armii Krajowej. Z Generalnej Guberni zaczęli przybywać łącznicy, którzy tworzyli placówki wszędzie tam, gdzie to było możliwe. Wtedy, ta administracja miała odpowiednie dokumenty dla kurierów, dla nowo przybyłych. Po pewnym czasie Niemcy się zorientowali i poprzez skłócenie okupowanych chcieli zapobiegać tworzącej się solidarności: dawnych urzędników odwoływali, wsadzali do więzienia a na ich miejsce mianowali Białorusinów. Próbowali stworzyć białoruską jak gdyby republikę. Aby otrzymać stanowisko, trzeba było mieć zaświadczenie, że się jest Białorusinem. Inaczej Niemcy nie pozwalali pracować.

Po rozbiciu młeczarni powstał problem pracy. W odległości 17 km od naszego miasteczka był młyn Jeleniewicze. Młynarz dobrze pracował, tylko niebezpiecznie było pracować, bo już sowiecka partyzantka zaczęła przychodzić do młyna nocami. Ale właściciel załatwił w Lidzie arbeitsamtkarty dla wszystkich pracowników, a te dokumenty dawały gwarancję uniknięcia wywiezienia na roboty do Niemiec. Poszedłem więc do pracy do tego młyna, obok był dworek, właściciela którego wywieziono jeszcze w 30[?] roku do Kazachstanu, w dworku mieszkała jego rodzina. Młyn składał się z dwóch kamieni tylko i walców. Gospodarz dawał pełne wyżywienie i 160 kg mąki miesięcznie. Ale mało kto się tam utrzymywał dłużej gdyż ze względu na przemienne wizyty sowieckich partyzantów i patroli z pobliskiego schutzpunktu w Białogródach. Na Nowogródczyźnie Niemcy tworzyli te schutzpunkty przy mostach, węzłach kolejowych. Składały się one z 20-40 ludzi, w zależności od ważności danego węzła. Ze schutzpunktu wyruszały patrole i sprawdzały okolicę. Kiedy pierwszy raz przyjechali do nas sprawdzali

dokumenty, gdzie kto mieszka, a oprócz mnie tam mieszkali mecha-
 nik i wagowa. Młyn miał zamontowany silnik od traktora Stalowie
 działający na gaz drzewny. Gospodarz, który przywoził zboże
 do zmielenia musiał przywieźć także suche drewno. Grudzkę, jbb-
 lko albo dąb. Do moich obowiązków należało, żeby stale był ten
 gaz. Często się tak zdarzało, że w nocy przychodzili sowieci,
 zabierali mąkę i ledwo odeszli a tu Niemcy nadchodzą. Ale mie-
 liśmy taki układ, że jedna ze służących miała romans z dowódcą
 sowieckiego oddziału. Druga znów, wagowa, wdziękowała się do
 Niemców. A znów na tych posterunkach sporo było policjantów
 polskich, którzy w większości należeli do AK. Ci nas ochraniali
 - dawali wcześniej znać. To trwało chyba z pół roku. Potem so-
 wieci zaczęli represjonować ludność. W tym czasie nasze placów-
 ki akowskie okrzepły już, były nieźle uzbrojone i na nasze tere-
 ny przyszła placówka z Białoogródy, przeszła się po wioskach,
 narobiła trochę szumu. Na początku 43 roku powstał problem samo-
 obrony. I na terenach koło młyna powstała samoobrona. Składała
 się ona z miejscowych ludzi i jednego z Krzywca, któremu Sowie-
 ci zabili brata, z dwóch osadników, którzy uciekli w czasie
 wywózki ich rodzin, przeszli do GG i potem wrócili, i kiedy nas
 z placówki wrócili, powstał problem stworzenia stałego oddziału
 Ja w tym czasie już należałem do organizacji ale nie wiedzia-
 łem że w Jeremiczach jest też placówka AK która z kolei śledzi-
 ła mnie. Ponieważ często przyjeżdżali Rosjanie, trzeba było
 ładować im akumulatory, dawać zboże sądzono, że ja kolaboruję.
 Był nawet taki moment, że po jakimś czasie chcieli mi żeb ukrać
 tylko jedna panienka mnie obroniła jak się potem okazało.
 Żeby chronić moją rodzinę - niedaleko przecież miałem matkę
 i siostrę - zabrali mnie z dużym szumem i puszczono pogłoskę
 że zostałem zabity. A ja poszedłem z chłopakami dna placówkę
 koło Białoogródy, potem przerzucili mnie do Białoogródy i miał
 przyjąć łącznik i miał przyprowadzić razem z oddziałem na te

tereny, gdzie pracowałem we młynie.

W Białorudzie miał miejsce taki incydent. Siedziałem u księdza na plebanii i dano nam znać, że idzie tyralierka Niemców. Schowano nas wtedy w grobowcu, na cmentarzu koło kościoła. AM miała tam kryjówkę. Potem okazało się, że Niemcy często przyjeżdżali obchodzili chałupy i zbierali jajka, a nam się zdawało, że oni szukają kogoś. Potem wieczorem przyszedł łącznik i jeszcze dwóch kolegów i zaczęli nas przeprowadzać przez tory, przez szosy w stronę naszej miejscowości. Doprowadzili do mająteczku Jaromieńszczyzna. Wieczorem przyszli łącznicy i zabrali nas na swoje meliny. Powstała wtedy grupa z miejscowych chłopaków, było nas gdzieś 12. Czekaliśmy na oddział który miał przyjść z Lidy, wraz z komendantem i miał być stworzony oddział partyzancki. To był gdzieś marzec - początek kwietnia. Przyszedł na nasze tereny oddział złożony z 14 ludzi, w tym podchorąży łączności plutonowy Zajączkowski pseudonim Bragner, który ~~przejął~~ przeprowadził dwóch podchorążych, dwóch kaprali, w sumie ich było 12. Z uzbrojenia 2 rkm y a przedtem nasza grupa miała 1 rkm i stworzył się oddział partyzancki pod dowództwem komendanta Ragnera. Zastępcą komendanta był plutonowy Miszczuk, osadnik, pseudonim Stryjek, szefem oddziału był kapral Osten Tobała, też osadnik, adiutantem był podchor. Dubow i trzech kaprali - jeden z grodzieńskiego batalionu motoryzacyjnego, jeden podchorąży i jeden też kapral Fred Mazurkiewicz Oleś stworzyli trzy drużyny. Pierwsze zadania polegały na tym, żeby wieczorami obchodzić wioski i robić szum, stwarzać wrażenie, że jest nas dużo - bo na tych terenach działała już partyzantka sowiecka. Oni zorientowali się, że coś nie jest w porządku i zaczęli szperać przez swoich wywiadowców, swoje wtyczki żeby nas zniszczyć. Początkowo my działaliśmy tylko w nocy, dzień spędzaliśmy w odludnych miejscach, opuszczonych stodołach. Najgorsze

były wszy. Kiedyś, pamiętam, siedzieliśmy w pięknej okolicy, piękna pogoda, a wszy tak nas opanowały, że ze szwów ubrania można je było zrzucać patykiem. I jeden chłopak z Lidy, który chodził do III klasy gimnazjum powiada: Kurwa mać, tych pisarzy, poetów wziąć tutaj do nas żeby opisywali jak to na wojence ładnie. Opisują bohaterstwo a nas tu wszy gryzą. I tak chodziliśmy. Zywiliśmy się po wsiach, wchodziliśmy po trzech, po czterech do mieszkań, a te strony były nam dobrze znane i prosiliśmy o jedzenie. W pierwszych dniach było nam głupio. Teraz ludność terenów, na których operowaliśmy. Większość ludności to byli Polacy. Pozostali to byli tzw. ludzie prości. Jak w 39 i na początku 40 tworzyła się tam władza radziecka i przed głosowaniem robili spis ludności to ci wszyscy ludzie prości, którzy mówili mieszaniną polskiego i rosyjskiego upierali się twardo, że są Polakami.

Pierwsza potyczka z Sowietami to była z oddziałem karnym wysłanym do zwalczania nas. Oddział ten urządził na nas zasadzkę ale ktoś zgubił czapkę z czerwoną gwiazdą i nasz komendant ją włożył. I przeszliśmy się na pobliską kolonię. Zobaczył nas pastuszek i krzyczy, towarzyszc komandir, tutaj na was czekają, nasz otriad czeka. Dowiedzieliśmy się że jest ich ok. 20 i podeszliśmy szczęśliwie od strony z której nie było okien. Podeszliśmy pod ten domek i zaczęła się strzelanina. Wreszcie zapaliła się strzecha i oni zaczęli wyskakiwać. Ale prawie wszyscy tam zostali. Jeden wyskoczył, ranny. I krzyczy do nas: nie dobijajcie mnie, jestem szwagrem Miszczuka, "Stryjka". Ale Miszczuk doleciał, ach ty skurwysynu, chciałeś mnie zabić to ja ciebie wykończę. No i zabił jego. Na naszych oczach. Konsternacja, ci nasi młodzi chłopcy bardzo przeżywali, jak to można tak człowieka zabić. Ale trzy dni minęły, zdobyliśmy czeski rkm i dalej podchodzimy. Pod

ten Niemen tak zwany. W międzyczasie mieliśmy takie zasadzki: poszliśmy w dzień na melinę, do stodoły wójta, który należał do organizacji. Zjedliśmy śniadanie i postanowiliśmy czekać w stodole na obiad. W tym czasie wójt, nie wiedząc o naszej u niego obecności, udał się z Niemcami na obchód gminy i przyjechał do swego domu. Jeszcze dourze, że córka zdążyła zamknąć nas na kłódkę. Siedzimy w tej stodole, widzimy jak Niemcy chodzą, jedzą nam obiad, my się pilnujemy, żeby broń Boże broń nie wystrzeliła /zdarzało się to w ruskich karabinach Moisiejewa/ a Niemcy sobie popili i znalazł się jeden gospodarz, który koniecznie chciał zobaczyć, jak u wójta wygląda gospodarstwo. Przyszedł do kieratu i koniecznie chce zobaczyć jak zboże jest ułożone w stodole. Ale jakoś podszedł, zobaczył, że zamknięte i wreszcie dał spokój. Kiedy Niemcy pod wieczór odjechali, wyszliśmy głodni, bez obiadu i poszliśmy dalej. Poszliśmy pierwszy raz pod Niemen ale wieczorem coś jakaś konsternacja zabierają nas drużynowych na odprawę do komendanta - coś jest nie w porządku. Drużynowi wrócili wystraszeni nie mówią. Okazało się, że stuosobowa grupa sowiecka zza Niemna zaczęła się na nas w czysto polskiej i sprzyjającej nam wsi Niecież, spaliła tam parę chałup, zabiła kilku ludzi podjranych o współpracę z nami i czekali aż będziemy przechodzili bo dokładnie nie wiedzieli, gdzie jesteśmy. My byliśmy zmęczeni, wzięliśmy podwoły, na każdej czterech nas jechało. Podjeżdżamy pod wieś Pacuki. Ta wieś na wzgórzu a my nadjeżdżaliśmy z doliny. Wtedy oni nie wytrzymali i zaczęli nas ostrzeliwać. Więc rozsypaliśmy się w tyralierkę i poszliśmy do natarcia. Młodzi chłopcy, jeden drugiego podkręcał, bali się najbardziej posądzenia o tchórzostwo. A ich było około setki. Zabiliśmy ich wtedy ok. dziesięciu, zdobyli trzy rkmy i z 10 kbk . W pewnym momencie Stryjek za jednym

się ~~z~~ zapędził w żyto i został zraniony w pachwinę. Wyłączył nas z walki; komendant rozkazał odwieźć rannego do pobliskiej wsi, opatrzyć ranę i ochraniać. Syn tego Stryjka był gońcem komendanta. Miałem okazję wtedy zetknąć się z sytuacją, którą na ogół zna się tylko z literatury: nadbiegł syn i zaczął płakać a ranny Stryjek przywołał go do porządku: idź natychmiast do komendanta, tam twoje miejsce, trwa walka, jesteś żołnierzem. Nam przeszedł mróz po plecach. I jeszcze kolumna nie ruszyła, kiedy sanitariusz się zorientował, że Stryjek nie żyje. To był nasz pierwszy zabity.

Przyjechaliśmy do Niecieczy spokojnie: pierwszy zabity, warta honorowa, chłopcy ponurzy. pogrzeb. Ogrodziliśmy sobie kawałek ziemi obok cmentarza w Niecieczy, postawiliśmy wielki krzyż z napisem "Dla ciebie, Polsko" i tam chowaliśmy swoich poległych.

Kiedy trwała strzelanina, usłyszeli ją Niemcy w odległym 10 czy 15 km Żółcinku. Kiedy przyjechali na miejsce i zobaczyli zabitych, miejscowi chłopci powiedzieli im, że zabiła ich miejscowa samoobrona, że to są Sowieci, którzy ich grabią. Niemcy zaproponowali, żeby ludzie z tej samoobrony do nich przyszedli to dostaną broń, skoro muszą się bronić. To było dla nas kuszące, ale nie chcieliśmy sami decydować. Później z tego rodzaju faktów powstała teza o kolaboracji polskich oddziałów z Niemcami co się mija z prawdą.

W tym samym czasie mieliśmy potyczkę z Niemcami. Wychodziliśmy z lasów niedaleko Bielicy i natknęliśmy się na ich patrol, który otworzył do nas ogień. Dowódca kazał się nam wycofywać, ale jakiś dziwny lęk nie pozwalał się nam ruszyć. Wreszcie dowódca własnym przykładem i odwagą nas poderwał, jednak, kiedy trochę dalej nas policzono okazało się, że wprawdzie nikt nie zginął i nikt nie jest ranny ale brakuje jednego rkmu,

pozostawionego przez jednego z żołnierzy, ze strachu, na polu walki. Cóż, strach, ludzka rzecz. Dwódecz próbował znaleźć ochcownika, który by wrócił po ten rkm ale nikt się nie kwapił: ost ostrzał był tak gęsty, że aż piasek kipiał. Wreszcie obiecał kaprala za ten rkm. A taki prosty chłopak mówi: ja pierdolę, ja do partyzantki nie przy ześlę, żeby kaprala dostawać. I tak ten rkm zostawiliśmy.

W naszej pierwszej strukturze był wywiadowca, który pierwszy penetrował teren, pierwszy, jako cywil, wchodził do wiosek, n wiązywał kontakt, zdobywał orientację, oczyszczał teren itd. I on wracając znalazł jednego naszego zabitego, któryc szedł na szpiędy, został ranny i policjanci z posterunku, którzy należeli do organizacji doбили go, myśląc, że to sowiecki partyzant. Potem w miasteczku się pytali, co to za strzelanina była. I jeden z nich mówi: a, potrzepaliśmy trochę ruskich, ja sam dobiłem jednego ruskiego. I zabili wtedy Brylskiego Wacka który był jeden z pierwszych z tej samoobrony.

Tu chciałbym zwrócić na jedną rzecz uwagę: często się mówi, że w AK byli sami pańscy synowie i burżuje. To wcale nieprawda bo nasz pierwszy oddział, kiedyśmy zaczynali składał się z samych prostych, biednych ludzi, doszło trochę z miasta trochę inteligencji, ale przewagę mieli miejscowi.

Mieliśmy takich gospodarzy w okolicy, do których przychodziliśmy co pewien czas, żeby w przydomowej ruskiej łaźni odwezwąć ubranie: wszy fantastycznie ginęły w ruskiej łaźni własni. Kiedyś przychodzimy do nich: a tam syna nie ma. Był młodszy, poszedł z nami. Mówi: ja pójdę teraz do partyzantki, pomszczę brata. Kiedy potem ich odwiedzaliśmy, matka czasem ocierała łzę a ojciec mówił: nie płacz stara, mamy jeszcze trzeciego. Jak trzeci zginie, to ja pójdę, aby tylko ta Polska była. Ta,

ki był patriotyzm w tych prostych ludziach.

Po pierwszym okresie zaczęliśmy obrastać w piórka, zaczęła do nas napływać młodzież i przyjechał Lech, który zaczął tworzyć tzw Batalion Zaniemeński, na który składały się nasza kompania, kompania Zycha i kompania Krysi. Teren zaczął się poszerzać, zaczęły się walki z Niemcami, Sowietci dali nam spokój bo zrozumieli, że jesteśmy silni, oprócz tego zaczęły się tworzyć tzw miejscowe bandy, które grabiły ludzi pod pretekstem partyzantki i tych zaczęliśmy zwalczać, dość szybko poszło, tak, że teren został opanowany. Powstał problem broni bo ludzie napływali, trzeba było ją zdobyć. Poszedł więc Lech z Batalionem Zaniemeńskim ~~do~~ ^{pod} Jaszony, było bowiem wiadomo, że tam są duże składy amunicji i broni a obsługa nie wielka, gdzieś około batalionu. Opuściliśmy więc nasz teren zostawiając tylko niezbędną ochronę. Po drodze stoczyliśmy szereg walk z Litwinami i posterunkami niemieckimi. Powstała panika bo nieźle byliśmy umundurowani w mundury szyte przez miejscowych krawców z miejscowego płótna i we wsiach, które pierwszy raz nas widziały robiłyśmy wrażenie. W rezultacie Niemcy z miejscowych posterunków zaczęli prosić o pomoc z Lidy, bo zrzucono desant a Lida sama nie miała nadmiaru wojska gdyż wojsko w Lidzie musiało pilnować lotniska. Tak się złożyło, że przed nami wycofywała się łotewska dywizja, my szliśmy ich tropem i żartowaliśmy, że wypędzamy wszystkich nieprzyjaciół, że jesteśmy zrzutkami z Anglii. Doszliśmy aż do Puszczy Rudnickiej i tak nastąpił nieprzyjemny wypadek: jeden z naszych, częstowany śniadaniem przez miejscowego gospodarza zabrał mu zegarek. Jeszcze ten gospodarz zawstydzak naszego że posłki partyzant nie powinien tak postępować - a nikt nie wiedział że ten gospodarz jest szefem miejscowej placówki

który w konsekwencji złożył skargę i chłopcu groziła kara - no była jedyna kara za rabunek: kara śmierci. Ten chłopiec młody był i wszyscy zaczęliśmy prosić dowódcę, a przyłączył się do nas i ten obrabowany, żeby inaczej go ukarać. Więc dostał ^{by} wyciorami przed frontem wojska. Ale kiedy po wieczornej modlitwie kazali mu się rozbierać do kary, zaczęła się strzelanina: zostaliśmy zaatakowani tyralierą. Daliśmy im radę po walce i okazało się, że to była sowiecka brygada. Był też taki wypadek, że jeden z żołnierzy został ranny więc dwaj inni: podporucznik Kubuś, cichociemny i jeden kapral skoczyli do niego. Ale ranny żołnierz ich nie poznał, odbezpieczył granat i zginęli wszyscy. Wtedy zdobyliśmy ppanc, to znaczy rusznicę przeciwpancerną i tzw cichastriełkę, zn. karabin z tłumikiem, to było pożyteczne w naszych warunkach bo przy strzelaniu słychać było tylko szczęk iglicy. Wreszcie doszliśmy do Jaszunów ale okazało się, że garnizon w Jaszunach został wzmocniony dywizją Łotewską. Zaczęliśmy się więc wycofywać ale że przedtem narobiliśmy szumu to Niemcy, Litwini zaczęli nam deptać po piętach. Wtedy stoczyliśmy kilka poważnych już nie potyczek ale walk. Jedną z nich była opisana przez Chlebowskiego bodaj. Przebijaliśmy się spowrotem na nasze tereny z dużą dozą szczęścia: kiedyś chłopak stojący na warcie zobaczył, że drogą z zakrętu wyjechały trzy samochody Niemców. Miał rkm i nie wiem czy ze strachu czy z odwagi zaczął do nich strzelać. Niemcy nie wiedząc kto do nich strzela i nie podejrzewając że może to być jeden żołnierz zawinęli się i uciekli. Nasza grupa była niedaleko, poprawiliśmy i wszystko się dohrze skończyło. Kiedy podszliśmy już do szosy Lida-Grodno i do torów, nastąpiły się na dwie niemieckie zasadzki: Niemcy wiedzieli

że tamtędy będziemy wracali. Wstrzelali się w teren, w szosę i my przechodzimy przez tory, już wszyscy przeszli a ja z drużyną - miałem już wtedy drużynę - na ostatniej zycy. Niemcy z zasadzki urządzonej za torami póki widzieli duże oddziały, siedzieli cicho, ale kiedy zobaczyli nasz, ostatni - wygarnęli do nas. A my - odwróciliśmy się - i do nich. Usłyszeliśmy krzyki, hilfe itd ale zaraz zaczęli ostrzał z moździerzy. Tu młodzi chłopcy, las a nagle huk, błysk, wrzask, tam ranny, sanitariusz, nie byliśmy z tym oswojeni, pierwszy raz się z czymś takim zetknęliśmy, trochę nas strach obleciał, jednak doszliśmy do szosy, pierwszy zwiad konny, to pierwszy raz widziałem taką panikę: ten zwiad zakręcił i w nogi do lasu - bo każdy szukał w niebezpieczeństwie schronienia w lesie. Za zwiadem reszta pociągnęła. Tak, że my, którzy byliśmy z tyłu znaleźliśmy się na przodzie. Ale że trochę podpadliśmy i chcieliśmy sobie poprawić u dowódcy opinię, poszliśmy do przodu, przerwaliśmy zasadzkę, zdobyliśmy dwa rkm, inni zobaczyli że nam się udało, ruszyli nam na pomoc i szczęśliwie doszliśmy na nasze tereny. W tej zasadzce ranny został pewien nasz chłopak, dostał ranę w głowę, z ubytkiem kości czaszki i mózg w błonie wychodził przez to jak bąbelek. Lekarz opatrzył tę ranę, założył opatrunek ale powiedział nam, że nie ma szans, że w szpitalu miałby szansę jedną do 10 000. Nieśliśmy tego chłopaka jeszcze przez 50 km, po drodze staczaliśmy drobne potyczki, a na miejscu okazało się - że żyje. Wezwano więc chirurgów z 1 dy, którzy mu wstawili kawałek platyny, czy złota i wyżył chłopak, tykło potem miał takie nerwowe odruchy. Ale mówili że z czasem jemu to wszystko przejdzie. I zaczęło się partyzanckie życie. Najbardziej dokuczał nam

brak broni i korzystaliśmy ze wszelkich możliwych sposobów, żeby ją zdobywać. Na naszym terenie były one niemal zerowe, więc zaczęliśmy chodzić na inne tereny, za tory. Tamte tereny należały do innych batalionów, więc trzeba było zawsze dać znać, żeby się nie postrzelać. Nasz teren był najgorszy: graca Niemna i puszczy, bo tereny Krysi i inne były jakby osłaniane przez te dwa Bataliony Zaniemńskie.

Kiedys wywiad nam doniósł, że z Siedlec wyjeżdża grupa leśnej ochrony na kontrolę lasów i z nimi - było ich 5 czy 6 - jeden kapitan austriacki. Więc żeby zrobić na nich zasadzkę i zdobyć broń: tam będzie rkm, parę karabinów, MP. No dobrze ale w jaki sposób to przeprowadzić, bo teren między Sielcami a naszą szosą jest niezalesiony. Gdyby zrobić zasadzkę na tym terenie, to może być represjonowana ludność. Postanowiliśmy zrobić zasadzkę: przebrać połowę wyznaczonych do zdania grup / a miało w niej brać udział 20 chłopaków/ w niemieckie policyjne mundury. Akcja była zaplanowana niedaleko pewnej kolonii, w niedużym zagajniku, przebrani mieli podejść do wsi, Niemcy będą myśleli, że to jakaś strajfa, czy jakiś patrol i nie obudzi to ich czujność - a pozostała dziesiątka miała tylko ubezpieczać, na wszelki wypadek. I czasami by ją takie przeczucia: kiedy przyszło się dzielić na tych, którzy wezmą udział w kacji w niemieckich mundurach i resztę, jakoś nie miałem ochoty udawać Niemca. Koledzy mnie namawiali a ja się zaparłem. I poszedłem do akcji jako ubezpieczenie. Widzimy, jedzie pięć wozów. Na ostatnim wozie jedzie rkmista trzyma talerzówkę, palec na cynglu: widać jego. To trochę nieprzyjemne uczucie, bo ty leżysz i wydaje ci się, że on cię widzi i że zaraz naciśnie a ty strzelać nie możesz, bo trzeba ich przepuścić. No i tak było, przejechali, tamci wychodzą i zaczyna się strzelanina. My wyskakujemy: jeden tylko ucieka. A tam było tak: łączka - kopki siana i potem

krzaczki. I w pierwszym rzucie, kiedy dolatujemy do furnek widzimy: naszych paru leży, tamci pozostali leżą - i ten ucieka. I chyba ze dwudziestu nas strzelało - i uciekł. Jak to czasami bywa w życiu: jak nie sążone - to nie zginiessz. Okazało się, że uciekł, poleciał do Niemców, był trzy razy lekko^{ranny}, ale uciekł. A tutaj - na czym polegała tragedia: jak nasi podeszli, jak powiedzieli: ręce do góry, to wszyscy podnieśli do góry ręce - za wyjątkiem tego rkmisty I rkmista miał przygotowany rkm - jak pociągnął - to jednego zabił, drugiego ranił w brzuch a trzeciego w rękę. Tyle zdążył - a to była sekunda. I okazało się, że nasz, który stał naprzeciwko tego rkmisty - potem długo analizowaliśmy tę akcję - miał niewypał: to się często zdarzało; amunicja była zbierana, niepewna. I proszę: niby łatwa, banalna akcja i jeden trup, jeden ciężko ranny - a u nas ranni w brzuch zanim się ich doniosło do szpitala polowego to i operacja na ogół była już niepotrzebna - i trzeci ranny w rękę. Wracaliśmy z mieszanymi uczuciami - taka głupia akcja a tyle ofiar. Ale to nie koniec: teraz trzeba odskok zrobić, bo zaraz przyjdą niemieckie posiłki. I taka łączka była, rowy melioracyjne. Idąc złapaliśmy wóz na kolonii, położyliśmy rannego i zabitego - bo mieliśmy ten zwyczaj, że nigdy nie zostawialiśmy rannych i zabitych - wracamy i widzimy że szosą do Bielicy jedzie parę samochodów Niemców, którzy tam mieli swój punkt. I całe nasze szczęście, że oni nas nie zauważyli. A w takich sytuacjach taka siła się brała, że kiedy wóz nam ugrzązł - czterech - pięciu ludzi go brało i wyciągało. No, przyszliśmy na naszetereny, mamy zdobycz: rkm, MP, karabinów parę, ale co z tego: dwóch zabitych, jeden ranny. A jeden z tych zabitych - ten, który speł naprzeciw rkmisty, to był pupilek, syn naszego inspektora z Niecieczy. Jak tam przy-

18.

chodziliśmy, to on ciągle prosił rodziców, żeby go puścili do partyzantki. Wreszcie zmiękli, dali mu piękny mundur, oficerki, pierwsza akcja - i nie żyje.

Teraz trochę się cofnę w czasie. U nas w oddziale był taki - nawet jeden z pierwszych: Miotła. Poszedł do Lidy - nie wiem w jakim celu, miał ze sobą pistolet i nie wytrzymał nerwowo na widok idącej sztrajfy zaczął strzelać. Zabił tam tych paru Niemców ale jego też ranili i wzięli do niewoli. I tam była taki nasz dawny kolega który przyjął volksdeutscha i pracował w SD i on go przeciągnął na swoją stronę i Miotła zaczął dla nich pracować. Znał nasze meliny i SD zaczęła z tych melin naszych wygarniać. W więzieniu w Lidzie siedziało wtedy chyba z 50 naszych. I powstał problem, jak odbić naszych ludzi z więzienia, tym bardziej, że przedtem Niemcy rozstrzelali na naszych terenach 10 księży. Tych księży także chcieliśmy odbić ale oni się nie zgadzali obawiając się represji wobec ludności: uważali, że w końcu z więzienia wyjdą. Więc trzeba było odbić więzienie i powstał taki plan: ponieważ w więzieniu pracowali policjanci - członkowie organizacji, dorobi się klucze, nasz oddział będzie w niemieckich policyjnych mundurach i po jedenastej, kiedy już będzie po zmianie warty a komendant pójdzie do siebie wejdzie nasza grupa, zabierze tych co przebywają w celach śmierci /nie można było robić za dużo szumu, bo na wieżach stali własowcy/, upozoruje się więc wywóz na egzekucję i zabierze się naszych.

Pamiętam byliśmy na melinach w Czerepach - Czerepowszczyzna - tam były takie folwarczki, murowane domy, w razie czego dobra obrona, chętnie nas tam przyjmowano, były dziewczynki - robiły nam obiady. I akurat tam przebywaliśmy, kiedy przyjechał ktoś z dowództwa. I komendant robi nam zbiórkę i mó-

wi: Chłopcy, dostaliśmy do wykonania bardzo trudne zadanie, szansa jest taka, że może na stu zginąć 99 ale ja idę i potrzebuję 7 ochotników. I w tym czasie wystąpiła cała kompania. I zaczęli się wszyscy - co za paradoks - kłócić, kto ma iść. Jakoś się dogadali w końcu, on sam wybrał, je się też tam znalazłem, ubrali nas w policyjne niemieckie ubrania i poszliśmy. Doszliśmy do meliny pod samą Lidę i czekaliśmy na łącznika który nas wieczorem doprowadzi do miasta. I nasze nieszczęście polegało na tym, że klucze, które dorobiono zamykały - a nie otwierały. I cała akcja została odwołana. Potem - ja już nie chodziłem, inna grupa chodziła, też coś nie pasowało dopiero udało się to zrobić chłopcom drugiego batalionu, od Krysi. Z tym, że wtedy nasz batalion podszedł pod samą Lidę - to jest opisane u Chlebowskiego - i przejął oswobodzonych od chłopaków Krysi. Byłem obecny przy przyjściu tej grupy na nasze tereny do Czechowezczyzny. Wszyscy byli bardzo przejęci jeszcze ale pamiętam pewną młodą dziewczynkę, łączniczkę, wstrząśniętą sceną zabicia przez naszych strażników więziennego znanego ze znęcania się nad Polakami. Opowiadała że dla uniknięcia hałasu związano tego ruskiego, położono na stole, potem jedną ręką wyczuł serce i bagnetem przebił jego. Nie chciała przyjąć do wiadomości, że zabito kata. Inna nieprzyjemna historia z tym związana: paru spośród odbitych zasłużyło sobie na karę śmierci. Pięciu było takich oficer z Komendy Okręgu wydał na nich wyrok i nasz oddział musiał wykonać egzekucję.

Tymczasem Niemcy zaczęli się upominać o samoobronę. Lech porozumiał się z dowódcą obwodu i jako pierwszy poszedł na rozmowę do komisariatu od nas podchorąży, który miał za zadanie rozeznac sprawę. Obstawiała jego placówka z Li-

20.

dy. I nasz podchorąży oświadczył, że reprezentuje ludność wiejską, która musi się bronić przed wszystkimi na tych terenach grasującymi bandami. Nie wziął na siebie żadnych zobowiązań - bo nie mógł. Niemcy wobec tego zaproponowali, że przyszedł ktoś z jakimś pełnomocnictwem. I chorąży wrócił. To był pierwszy kontakt nawiązany. A na drugi kontakt poszedł - jeśli się nie mylę - Lech, ale za wiedzą Borsuka i wszystkich naszych władc. I też nie podjął żadnych zobowiązań. Ale po tych pierwszych rozmowach na temat samoobrony Niemcy, którzy nie mieli tam swoich silnych placówek, zaczęli miejscowych tolerować: nie wysyłali do nas żadnych karnych oddziałów, dali jakby temu terenowi spokój. No i problem broni. Ja wtedy obecny nie byłem więc dokładnie powiedzieć nie mogę ale chyba Niemcy podrzucili ze dwa ckm-y z dwa moździerze, dwa rkmy, parę karabinów. To była z ich strony jedyna pomoc dla samoobrony. Ale jeszcze raz podkreślam: dla samoobrony. I mogę tylko stwierdzić, że to była rzecz odosobniona i więcej od Niemców nie braliśmy żadnej broni. Niemcy nie dali jej nawet samoobronie. Ponieważ w następnych rozmowach chcieli, żeby samoobronę wzmocnić i zwiększyć jej zasięg a nato samoobrona nie wyraziła zgody. I na tym się skończyło. Urwały się wszelkie kontakty. Potem zresztą mieliśmy duże nieprzyjemności: ta sprawa została rozdmuchana, przyjechał do nas mjr Kotwicz, który te sprawy na miejscu badał, Lech został zdjęty a nasz dowódca i nasz batalion nie miał żadnych nieprzyjemności: często stykałem się z Kotwiczem, bywaliśmy razem w akcji. Kotwicz zatwierdził wszystkie awanse, nie zatwierdzone przez Lecha Ragner, Mewa, Pazurkiewicz, Fred dostali podporuczników nam pozatwierdzał awanse podoficerskie /bo trzeba było stworzyć kadre, której nie było, więc wybierano zdolniej-

szych którzy w marszu, jak to się mówi, kończyli szkołę podoficerską, ci młodzi chłopcy byli dowódcami drużyn, a nawet dowódcami plutonów. M.in. ja skończyłem szkołę podoficerską z pierwszą lokatą, dostałem drużynę a potem pluton. Kiedyś, jeszcze za Lecha, poszła pogłoska, że na naszych terenach będą Niemcy budować bunkry. I poszły nasze dwa bataliony pod dowództwem Lecha za tory, w kierunku Żyrmunt a na naszych terenach zostały dwie drużyny i zaczęły które miały nasz teren ochraniać i czekać na rozbitków z Batalionu Nalibockiego którzy po rozbrojeniu mieli przyjść na nasz teren. I kiedy dochodziłem z moją drużyną w czasie nocnego patrolu do naszych melin w Czerepach to taki prostokąt był, jeszcze Falkowicze, dwa na jeden wycięty w lesie, wchodzimy do Brylewskiego, zjeść, umyć się a przybiega jedr taka dziewczynka: co wy robicie - Niemcy są we wsi! A my na skraju lasu i już nie idziemy prosto do tych Czerepów tylko skrajem lasu. I mniej więcej w połowie krótszego boku spotykamy się z drużyną naszego komendanta i drużyną tzw Czapałowców, którzy w tym czasie przeszli z Puszczy Nalibockiej na nasze tereny. Ich było chyba z 10. Opowiadali nam właśnie historię tego rozbrojenia, historię współpracy, jaką przedtem prowadzili z Rosjanami, i my, te trzy drużyny, patrzymy, klęczymy, czekamy, co będzie dalej i widzimy, że Niemcy podciągają rkm - lmg tak zwany, podchodzą na mniej więcej 500 m i zaczynają ostrzeliwać - przeważnie zapalającą amunicją. Zapalili nam stodołę, pociągnęli po nas, dość celnie, mieli amunicję dum-dum, bo zaczęły padać ścięte gałązki. A nasz komendant się zdenerwował: do cholery, mówi. przyszli na moje meliny, nie dali zjeść śniadania i jeszcze mnie tutaj ostrzeliwują. Chłopcy, dają rozkaz, żeby jedna

drużyna skrajem lasu odcięła im drogę a my ich zaatakujemy. Ponieważ teren był suchy, płaski, to jak na ćwiczeniach pokazowaliśmy rozwinęliśmy się w tyralierkę, rkm ognia, strzelcy do przodu, strzelcy ognia, rkm ognia - jakby to było ćwiczenie. I w pewnym momencie, teren był suchy i wygodny bo dobrze było widać, gdzie pociski padają. Niemcy też, jak na ćwiczeniach: rkm osłania - o ni się wycofują. I tak się bawimy - z dwieście - trzysta metrów. W tym czasie żołnierz z mojej lewej mówi mi: Wiaterek dostał. Zaraz sanitariusz podskoczył, zrobił opatrunek i oni wycofują się - widać, że coraz więcej ich tam pada - ale ich uratował pagórek: za pagórek się schowali a między pagórkiem a lasem była mała prześtraż. I nasza drużyna tylko z 50 m miała do drogi żeby im przeciąć drogę i nie zdążyła, i tylko z 50 metrów ich ostrzelała, ale że w lesie, więc niecelnie. Ale wiemy, że Niemcy tak nie zostawią sprawy. W związku z tym ludność się ewakuowała, my nie mogliśmy ściągnąć posiłków bo nie było czasu i czekamy na niemiecką ekspedycję karną. Ale okazało się, że dowódcem na schutzpunktach - a to był schutzpunkt który ochraniał most na Dzitwie na szosie Lida-Grodno nie wolno było samowolnie penetrować wiosek: Niemcy liczyli się z tym że oddział taki mógłby spotkać partyzantów i niepotrzebnie zginąć. A że Niemcy chcieli sobie dorobić - wypuszczali się do wiosek, przyjeżdżali do sołtyśa, kazali sobie słoniny dać, wódki i wysyłali do Niemiec tę słoninę. I dowódca schutzpunktu, żeby uratować głowę, napisał meldunek, że sztrafka, która patrolowała tory, została zaatakowana i spisał ich na straty. Tym samym uratował swoją głowę i uratował tę wieś. Skąd to wiemy. Cały czas była walka o broń. Jak chcieliśmy zdobyć broń postraszyć Niemców w Bielicy, przebraliśmy się /oczywiście nie my, tylko inna grupa: batalion się

rozrósł, były już trzy kompanie, pewna grupa zaatakowała Niemców którzy jechali z dostawą z Lidy do Bielicy w ruskich z gwiazdami ubraniach i zostawili jednego rannego tylko, nie dobijali jego, żeby on mógł zaświadczyć, że to zrobili czerwoni i żeby nie było represji. Bo tam w potocznym nazewnictwie mówiono czerwoni - i biali. I zdobyliśmy meldunek, który był okólnikiem do wszystkich tych schutzpunktów, żeby unikać walki z Polakami, bo Polacy są dobrze wyćwiczeni i żeby nie ryzykować niepotrzebnie. Taka była konkluzja całego tego zdarzenia.

Potem na nasze tereny przychodzi UBK. Jako samodzielny batalion UBK, potem podporządkowuje się rozkazom Armii Krajowej i tworzy się trzeci batalion. Jesienią, chyba w październiku przyprawdzamy na nasze tereny Bogdankę. Z Bogdanki tworzy się 8 lub 7 batalion, nie pamiętam.

Ciekawsze spotkanie miałem z Ponurym. Bo Ponury - ten sam Ponury z Gór Świętokrzyskich - przyszedł na nasze tereny z grupą chłopców z Warszawy i miał za zadanie przejść dalej i stworzyć sobie oddzielny batalion. Pamiętam świetnie moje z nim spotkanie - bo ja, młody chłopak, miałem okazję pierwszą rozmawiać z oficerem, skoczkiem, on jeszcze chodził w angielskim mundurze, powiedział nam jak nazywa się Bór Komorowski, dowódca AK opowiadał wszystkie nowinki warszawskie. Dostał od nas paru ludzi - bo ciągle było dużo ludzi a mało broni - i poszedł. Potem UBK z naszych terenów odeszło, poszli pod Wilno, bo u nas nas zrobiło się za gęsto i potem, jak przyszedł Kotwicz, powstał problem, co dalej. Z Bielicy wycofali się Niemcy. Do Bielicy poszedł cały sztab, była żandarmeria, szpital polowy, W roku 1944 maj-czerwiec nasz batalion rozrósł się do kolosalnych rozmiarów, to chyba był jeden z większych batalionów, bo było z sześć kompanii, szpital polowy, szpital zakaźny, bo

jesienią i zimą panował tyfus, dziesiątkował chłopców. Jedną z większych akcji to była u nas Olchówka. Poszliśmy za Niemem, mieliśmy iść na Krzywicze - przygotować teren dla zaniemeńskich oddziałów. W tym czasie na dowódcę mojej kompanii - warszawiacy często dość trafiali do nas - przyszedł lotnik: ten, co robił milieny na Senatorskiej, dostał tam Krzyż Walecznych, podporucznika i przyszedł do nas na dowódcę kompanii. Plan był taki: wyjdą trzy grupy, jedna, nasza, była najsłabsza bo wtedy nastąpiła reorganizacja i plutony miały tylko po dwie drużyny tylko jedna drużyna miała dwa rkm żeby broni maszynowej nie oddawać z plutonu a w ogóle organizacja była na wzór angielski: drużyna była 1 - 9, każda drużyna miała rkm, dowódca broń automatyczną, dość dobrze byliśmy uzbrojeni, 1:33, tzn dowódca plutonu, pluton 1 - 33, dowódca plutonu, obserwator, sanitariusz i goniec. To samo kompania. Już nawet pojawiły się wtedy kuchnie polowe przy kompaniach, bo ludzi było tylu, że nie można było karmić ich po kwaterach. Jeszcze: koło Dokładowa była tzw wieś Wielonosy. Tam zawsze mieliśmy kompanię na ubezpieczeniu. I z tamtej strony ciągle przychodzili Sowieci. I tam dość krwawe walki były. Raz wyszedł patrol żywnościowy, oni zaatakowali, chyba walczyli z pół dnia, naszych nie rozbili ale mieliśmy dość duże straty bo, pamiętam, chowano wtedy pięciu kaprali. Potem jeszcze raz chcieli przyjść ale dowiedzieli się, że nadeszły posiłki: nasza kompania, potem jeszcze UBK podeszło i już nie przyszli. W 44 roku chyba już, w kwietniu, nasza kompania miała wyjść ostatnia, jako najsłabsza a idzie pierwsza terenami koło Niemna i dochodzi do Krzywicz. Grupa środkowa z dowódcą Kalinkiewiczem, zwiad konny z Ragnerem i kompania cekaemów i szturmówka idzie środkiem a trzecia grupa - dwie kompanie - z pra-

wej strony. I tak mniej więcej było obliczone, że wszyscy się spotkają w Krzywiczach o określonym czasie. Oni znów wystawiali placówki, tak, że cały czas się szło w takich lekkich walkach. Dochodzimy do Olchówki - podzielonej rowem melioracyjnym przed wsią spotkaliśmy się ze środkową grupą a mieliśmy rozkaz zehy, gdyby Olchówka się mocno broniła nie nacierać, czekać na innych. Więc podszliśmy do Olchówki, rozwinęliśmy tyralierkę, ostrzelaliśmy lekko i weszliśmy do tej wsi. A trzeba być znać, że dość sprytnie było urządzone stanowisko obronne, bo przed stodołami były poustawiane sęgi drzewa, które się suszyło. One były podkopane tak, że wchodziło się od spodu i było normalne strzeleckie stanowisko. My weszliśmy do wsi a ,jak się okazało, tamci wycofali się do lasu i nas okrążyli. A przedtem jeszcze nasz dowódca dał nam rozkaz, żeby zająć wysunięte w stronę lasu kolonie. Poleciliśmy tam a oni wychodzą ale widzę, że są w niemieckich policyjnych ubraniach i krzyczą "Pazurkiewicz, swoje, nie strzelać, - chcieli jak najwięcej uzyskać terenu.No, ale otworzyliśmy ogień - i zaczęło się. Mieliśmy umówione sygnały różne. Widzimy, że długo się nie utrzymamy: ile każdy mógł mieć amunicji - 50 -100 sztuk. W walce to szybko idzie. Postanowiliśmy skoczyć w ten rów melioracyjny, który szedł w kierunku grupy Kotwicza. Nadto zapaliliśmy stodołę z której dym poszedł na las i stworzył zasłonę dymną. Ja skoczyłem do rowu i myślałem, że wszyscy idą za mną. A dość duża grupa przebijała się przez wieś - i tam zostali zdziesiątkowani. Moja drużyna skoczyła ze mną do rowu, strzelanina, wycofujemy się, już niedaleko do lasu było i widzimy na wzgórku - ranny leży. Miałem problem - czy ratować rannego i zostawić drużynę- czy zostawić drużynę. ^{witwre} Zdecydowałem w końcu, że ratuję drużynę, a kolega mówi: jak to, zawsze nam wpajasz, że rannego nie wolno zostawiać a te-

raz co, jak tak można. No i koniec. Muszę przecież słowa swego dotrzymać. To w takim razie - mówię - drużyna się zatrzymuje /a jestem na wzgórku/ ten rów ma takie zakole, więc oni rowem nie mogą wyjść bo ich ten rkm tutaj trzyma, ja, sanitariuszka i jeszcze jeden wskakujemy i do rannego. A on ranny w nogę sanitariuszka sama nie może opatrunku zrobić - jak my jej pomagamy to tamci wychodzą z rowu. Ja każe wycofać się mojej grupie - to oni nie chcą. I zaczęła się tutaj między nami taka targowica: ja mówię - a oni: ty uciekaj, ty wycofuj rannego. I w pewnym momencie - jeszcze u nas taki Misiek był który do gimnazjum chodził przed wojną, bardzo ładnie granaty rzucał, tak gdzieś na 50 m. Ja mówię: ty rzuć parę granatów odstraszą ich. Ale w pewnym momencie słyszę cyk - skończyła mi się amunicja. Najbardziej się zmartwiłem, że mnie w Niecieczy nie pochowają - na tym cmentarzu partyzanczym. i on mówi: i ja mam ostatnie naboje. I w tym momencie słyszymy strzelaninę - i po nas, i po nich, z ckmów. A to już nasi idą. Ja mówię: no, nie zginęliśmy od cudzych, to zginęmy od swoich. Ale jakoś szczęśliwie daliśmy znać, oni podeszli, zdobyliśmy spowrotem tę Olchówkę, i - co dalej - słyszymy strzelaninę na Krzywiczach. A jak był atak na Olchówkę, to Kotwicz został odcięty z dwudziestoma chłopakami i potem chłopcy opowiedli, że był bardzo odważny, zachęcał ich do walki, uspokajał i obiecał, że ich wyprowadzi. I udało mu się ich wyprowadzić. My się cofnęliśmy, zabraliśmy zabitych, wtedy zginęło coś chyba 15, rannych trochę było, wróciliśmy do lasu, doczekaliśmy nocy i wróciliśmy na nasze meliny. I powstał problem - przyszedł Kotwicz, nasi przyszli ale zostawiliśmy tam naszych zabitych - trzeba iść. Kotwicz ściągnął pierwszy batalion Bogdanek, nasz uzupełnił i poszliśmy drugi raz. Podeszliśmy

już prawie pod samą miejscowość a tu dostajemy wiadomość, że oni wiedzą, że wrócimy, bo zostali nasi zabici i że ściągnęli jeszcze parę brygad, czekają na nas. I nasi postanowili się wycofać. Taka była ostatnia większa bitwa z nimi. Wrociliśmy na nasze tereny i powstaje problem - co dalej. U nas następuje zmiana dowódcy okręgu: zamiast Borsuka przychodzi Poleszczuk.

W sprawie Miotły i Ryppera zarzucano Lechowi, że do Lidy nie wysłał dwójek. Ale tam chodzili chłopcy, którzy osobiście znali tych obu, ponieważ trzeba było za wszelką cenę ich zabić. Więc trzeba było idąc do Lidy zostawić wszystko, co mogło świadczyć o twojej tożsamości, brało się dwa pistolety jeden przeważnie jakiś vis czy TT, parabellum i zawsze się miało nagan: bo nagan podobno był niezawodny, parę granatów i się szło i się spacerowało po ulicach. Ja też byłem wysłany. Kiedyś szedłem w Lidzie w stronę torów a z przeciwnej strony nadjeżdżał samochodem SSman. A ja tu nic nie mogę, nie po to zostałem wysłany. Widzę Niemca - i nie mogę strzelić. A on podjechał bliżej - wjechał na chodnik i sięga do kabury. Tu już ja powinienem strzelić pierwszy - jakby ręce mi zdrętwiały, nie mogę ich unieść, nie mogę sięgnąć po broń. Trwało to pewnie chwilę ale mnie się wydawało, że wieczność - i potem ten ssman przekreślił kaburę do tyłu i odjechał. Kiedy przyszedł trzeci maj - to na naszych terenach już był komisarz cywilny, władza cywilna, ogłoszona była rforma rolna: wszystko było gotowe - tylko przejmować władzę. Kotwicz stworzył sztab, stworzoja została zandarmeria, kompania zmotoryzowana - wszystko było. Na trzeciego maja była defilada, na trybunie batiużka- pop, co ważniejsi gospodarze, czterech z naszego batalionu dostało Krzyże Walecznych i pięć - Piasecki. Ale skończyła się uroczystość - zaczęła się rze-

czywistość. Wiemy, że front nadchodzi; znając Sowietów, wiemy, czym to pachnie, że oni nam nie darują, że oni przez cały czas tet tereny traktują tak, jakby były cały czas ich własnością i ci, którzy im się nie podporządkowali, na pewno za to odpowiedzą. Już w 1944 przygotowywali listy tych, którzy działają aktywnie i walczą o te ziemie. Powstał problem, czy iść przed frontem w kierunku Warszawy, czy iść w akcję pod Wilno. Przyszedł rozkaz: iść pod Wilno, z tym, że nasz batalion miał pozostawać na miejscu do ostatniej chwili, wycofywać się przed ostatnią niemiecką dywizją, bo oczekiwano oddziałów z Puszczy Nalibockiej. Już wycofują się Niemcy z Lidy, odchodzimy z naszych terenów, przechodzimy w nocy koło Lidy - która jest bombardowana wszędzie się pali, i od Lidy do Wilna bez przerwy walki, potyczki z wycofującymi się oddziałami niemieckimi I zachciało się naszemu dowódcy zdobyć taki park maszynowy i mówi: batalion poszedł dalej a my tu zostaniemy, taki laszek był, szosa, na szosie stała rozpoznana kolumna samochodowa, wieczor^{em} - mówi dowódca - przyjdziemy sobie, zdobędziemy ten tabor i pójdziemy dalej. Okazało się, że przed nami były takie łączki. I tam zatrzymuje się przed nami cały pułk kawalerii własowców. A my jesteśmy między nimi i tą kolumną samochodową. Placówka nasza stoi, rkm, a tam taki kałmul przychodzi, rozwolnienie miał i pod samym nosem mi się załatwia. I tak cały dzień w napięciu - bo nie wiadomo, czy jakiś koń w naszą stronę nie ucieknie, czy ktoś nie przyjdzie - a jeden strzał - i zacznie się wszystko kotłować. Jakoś całe szczęście, że przesiedzieliśmy cały dzień w tym zagajniku, oni pod wieczór odeszli a my zostawiliśmy w spokoju tę kolumnę i przeszliśmy bokiem dołączając do oddziału, który zdobył dwie tańkiety, masę taboru i spotkał się z czołwką Armii

Sowieckiej. No i przyjechał jakiś podpułkownik, pułkownik, w wypłowiałych bluzach, medali pełno, dali nam wytyczne, gdzie są ich oddziały, gdzie są niemieckie, a ponieważ tam były lasy to wszystko było przemieszane. Wtedy nastąpiła u nas zmiana na stanowisku dowódcy batalionu. Ponieważ nasz batalion nie był specjalnie lubiany, więc żeby uniknąć konfliktów dali nam na dowódcę por. Szterpica /?/ ze sztabu Kotwicza.

I znów: idąc, wpakowaliśmy się na martwe pole, gdzie artyleria sowiecka biła po niemieckiej a niemiecka po sowieckiej. Kiedy wychodziliśmy z tego pola zabili nam porucznika, nazywał się chyba Marciszewski. Doszliśmy do stanowisk sowieckich i zaczął się handel: wymienialiśmy ręczne pistolety za amunicję. I nasi pojechali do sztabu ich armii, chyba do Dokudowa i stamtąd przyjechało ich chyba z 5 samochodów, takich willisów, na przegląd batalionu. Zrobili prezentuj broń i jeden przechodzi przed szeregiem, każdemu w oczy patrzy i powtarza: kakij prekrasnyj element, kakij prekrasnyj element. Żeby uniknąć dalszych starć, dają nam oficerów łącznikowych: jednego dają majora a drugiego z tylnej szpicy kapitana. I my widząc, że to zaporowe oddziały są, więc sprawa nieprzyjemna, zrobiliśmy odskok, od 3 poł do 6 rano z 70 km aż pod samo Wilno. W tym czasie walki o Wilno zostały wygaszone. Kiedy mijaliśmy oddziały idące na front, spotykaliśmy się z przyjazną reakcją: mówili o nas "sojuzniki", "partyzany". Oficerowie łącznikowi doprowadzili nas na miejsce i odjechali a nam dostarczono wiadomość, że przyjeżdża do nas Borsuk z gen Wilkiem na przegląd. Trzeba przyszyć kołnierzyki, dystynkcje, oczyścić buty, przygotować się. Zrobiliśmy to wszystko, a zamiast Wilka przychodzi rozkaz: Rosjanie rozbraja-

ją oddziały AK, rozproszyć się, przedostać się do Puszczy Rudnickiej, i tam na plebanii u księdza będą dalsze polecenia. Każdy pozrywał to, co miał na nramiennikach, niektórzy oficerowie prysnęli już wcześniej. Odprawa u naszego porucznika też była nieprzyjemna, bo na wiadomość, że można wycofać się z walki i iść do domu niektórzy chcieli z tej możliwości skorzystać. Porucznik zaczął wymyślać, używać szpicruty, póki można było pić wódkę i pieprzyć po wsiach dziewczyny, powiada, toście byli, a teraz, kiedy trzeba walczyć za Ojczyznę, to was nie ma.

Ja dostałem nowego dowódcę kompanii, Witka jakiegoś porucznika i poszliśmy do tej puszczy. Idąc już omijaliśmy te oddziały radzieckie i, pamiętam, taki był klin wzdłuż szosy i las, weszliśmy do tego lasu a tu zaczęły iść kolumny radzieckie czekaliśmy do wieczora, wieczorem weszliśmy do jakiejś wsi straciliśmy orientację, weszliśmy do chałupy i pytamy się gdzie jesteście a tu wieśniak przerażony odpowiada Panowie, tu szpital radziecki. Więc my go na pasek, żeby nam nie uciekł i kazaliśmy mu wyprowadzić nas opłotkami żeby nikt nie widział: jak my zginiemy to i ty zginiesz. Najgorsze, że nie chcieliśmy dopuścić do walk w szpitalu. Jakoś nas szczęśliwie wyprowadził, dochodzimy do Puszczy Rudnickiej a tam kolumna czołgów idzie. Już świtało. Wchodzimy na obrzeże Puszczy R., jakoś przeszliśmy szosę, a stamtąd wychodzą oddziały wileńskie. Najbardziej utkwiała mi w pamięci orkiestra: chyba z dziesięć instrumentów; idą zwartym szykiem. Okazało się, że Puszcza jest już zajęta przez Sowieców i oni idą się rozpraszać. No i nasza wojenka się już skończyła. Spotkaliśmy się w granie najbliższych znajomych i zastanawiamy się, co dalej robić. Niektórzy mówią, że idą na swoje tere-

ny, a u mnie była sanitariuszka z Kolonii Wileńskiej. Ona mi zaproponowała żeby pójść do niej a potem się zobaczy. Więc wybrałem to rozwiązanie i jeszcze z paroma chłopakami dołączyliśmy do resztek oddziałów wileńskich. Na miejscu nie można było zostać, bo wioski były przeważnie litewskie. A Litwini przecież też nas nie lubili.

Idziemy więc, z zamiarem przedostania się do polskich wiosek i idziemy przez łączkę, chyba 2kilometrową, potem było wzgórze a dalej rzeczka płynęła. Jadą Rosjanie, normalnie, z zdrastwujcie, rebiata, podchodzimy do mostku a tam aż niebiesko na górze. Widzimy ckm, pograniczników - zaporowe oddziały, ale już cofać się nie można, nie ma dokąd. Ja szedłem chyba piąty z lewej, w szyku partyzanckim: szło się gęsięgo, środek wolny, wychodzi nam naprzeciw taki lejtenant i pyta, dokąd. No, idziemy do swoich. Pójdziecie, jak się rozbroicie. Ja nic nie mówię, a z prawej strony był jakiś chyba dowódca kompanii, widać było, że go chłopcy słuchali, i po rosyjsku do niego mówi: ty nam broni nie dawałeś i ty nas rozbrajać nie będziesz. A ja mam prikaz od mojego naczałstwa. A ja mam swój. I zaczęli się targować. Ale ten Rusek mówi: zobacz - ty jesteś żołnierz i ja jestem żołnierz. Ja mam rozkaz was rozbroić i doprowadzić na miejsce koncentracji. Ja muszę ten rozkaz wykonać. Ja wiem, że ty mnie teraz zabijesz. Ale szans żadnych nie macie. Popatrzcie. Jeden na drugiego spojrział, zaczęliśmy przechodzić przez mostek i rzucać broń. Jakie to było uczucie, nie podejmuję się opisać. Broń opłacona krwią, rzucona przed sojusznikiem. Tej broni zrobiła się kupa, bo nas było z 80, gorąco, kobiety zaczęły przynosić wodę, mleko. I ja mówię do tej Hanki, zrzucaj mundurek, masz bluzkę, bierz wiadro i idź z kobietami. Ona nie chciała nas zostawić ale jej powiedziałem

żeby się nie wygłupiała, wojna się już dla nas skończyła. Trafiała na równe babki, jedna jej wcisnęła wiadro, druga drugie - i wyciągnęli ją stamtąd. A z nas zrobili konwój i prowadzą. A dowódca konwoju był taki kałmuk i przypomniało się jemu po trzech kilometrach, że z nami była dziewczynka. I gdzie dziewczynka, gdzie dziewczynka. Chłopcy go wyśmiali, że mu się w głowie przewróciło, wściekał się ale już nic nie mógł poradzić. Teraz poprosiliśmy tych wilniuków, żeby nas przeprowadzili przez Wilno przez Ostrą Bramę. Każdy przed dalszą wędrówką w świat chciał błogosławieństwa, opieki. Przyszliśmy do Wilna, odpoczęliśmy, miejscowi ludzie zaraz nam zaczęli przynosić papierosy, wodę jakieś kanapki, i prowadzą nas chłopcy przez Ostrą Bramę, pamiętam, taki duży plac był, na nim czołgi rozbite, wchodzimy w zaułek, każdy ukląkł przed Ostrą Bramą, zaczął się modlić. A ten Uzbek czy Kuzbek krzyczy podnima jes, podnima jes, strielat* budu! Jeden mówi mu słuchaj, durniu, nie drzyj się bo tutaj ty wszystkich możesz zabić i nikt ci się nie podniesie bo dalej nie pójdzie aż póki się nie pomodli. Wreszcie wstaliśmy i pod natchnieniem, pod opieką tego Płaszczka poszliśmy dalej. Mamy, okazuje się iść do Międnik, ale nie doszliśmy, zatrzymaliśmy się po drodze na noc, podwórko duże, stodoła, jeszcze inne oddziały do nas dołączyły i było dwóch Uzbeków, młodzi chłopcy byli, z brygady wileńskiej, ubrani w mundurki polskie, z opaską, ładnie im było, do twarzy. I od czasu do czasu przyjedzie jakiś tam politruk ich i rozmawia. I z kontrwywiadu przyjechał i jak nie skoczy, chciał ich wyciągać ale nas za duże było; wreszcie ich gdzieś zabrał i nie zazdroszczę im. I zatrzymał się taki willis, dowódca konwoju melduje, chyba to był podpułkownik czy pułkownik i zaczyna z nami rozmowę. Co, jak, dlaczego, dlaczego uderzyliście na Wilno, chłopcy odpowiadają wymijająco, on był chyba łobrze pijany

bo nie wytrzymał i mówi my wiemy, chcieliście uderzyć na Wilno, żeby pokazać światu, że Wilno należy do Polski ale nie z tego bo my Wilno oddamy Litwie i was tutaj nie będzie, będzie Litwa. My mieliśmy problem - uciekać, czy nie uciekać bo to ostatnia okazja, ale w końcu doszliśmy do Miednik, któreśkąd dały się m.in. z zachowanych murów zamku Giedymina gdzie Niemcy mieli punkt etapowy dla oddziałów idących na wschód, było tam parę baraków. I nas tam rzucili, okazało się że jest dużo znajomych, postawili kotły i zaczęło się życie. U nas jeszcze był jeden ranny w potyczce po drodze, w tyłek dostał, i on sam się do nas zgłosił bo różne plotki chodziły - że nas wezmą na ochronę baz amerykańskich na południu - nie nie było wiadomo. Parę razy wychodziłem po prowiant dla mojej grupy - to słonina amerykańska, suchary też, wszystkie produkty amerykańskie. Gdzieś na trzeci dzień przyjechał - chyba Soroka, nie pamiętam jakiś podpułkownik w polskim mundurze, stanął na bramie, zebrał wiec i zaczął mówić że jest manifest, żeby wstępować do armii Berlinga, że zatwierdzą nam wszystkie stopnie itd i żeby dalej walczyć o Polskę. A my wszyscy młodzi chłopcy jednogłośnie: oddajcie nam naszych oficerów i Wilka, co oni powiedzą, to my zrobimy. Wreszcie nie dali mu dojść do głosu; pojechał. Następnego dnia przyjechał Putrament, Jędrychowski i paru żołnierzy - berlingowców. Udało mi się dotrzeć do tego berlingowca - w końcu to 6 000 ludzi było - starszy człowiek, w rubaszce, w rogatywce, w owijaczach i on na nasz widok ma łzy w oczach i my jego pytamy: ty, dlaczego ty założyłeś ten mundur, dlaczego ty z nimi idziesz. A on zaczął płakać i mówi: chłopcy, dzieci, gdybyście wy byli tam, gdzie ja byłem to też byście chcieli z bronią w ręku iść do ojczyzny, a moja rodzina dostanie pajok /nie wiedziałem, co to znaczy ten pajok/ i też jest szansa, nawet jak ja zginę, że oni przyjadą do Polski.

potem często na dalekiej północy wspominałem te słowa.

Po 8 czy 9 latach tak samo sobie mówiłem: żeby teraz jakaś polska armia się tworzyła, to bym wstąpił.

Na drugi czy na trzeci dzień Sowietci ustawili na terenie obozu stoliki, postawili kobiety, żołnierki i zaczęli zapisywać chłopców do Armii Berlinga. Koło tych stolików niektórzy zaczęli krążyć, ale z tego, co mogłem się zorientować, podawali fikcyjne nazwiska, Piłdziński, Chuiński, trudne do wymówienia, Rosjanki prosiły, żeby im powtarzać i tworzył się wisielczy humor. Zapisano się może 100 osób, nie więcej, tych wezwano, uszeregowano w kolumnę i zaczęto wyprowadzać z obozu. W tym momencie zaczęły się gwizdy, krzyki, w obozie było z nami ok. 100 sanitariuszek, te dziewczynki podskoczyły, zaczęły zrywać im z furazerek orzełki, wołając nie jesteście godni nosić tych orzełków. Zaczęto śpiewać patriotyczne piosenki i wyprowadzono ich za bramę. Na drugi dzień okazało się, że dużo ich pouciekało, ok. 30 osób wrzucili spowrotem, też przy ogólnym szumie, i na tym się skończyła rejestracja do armii Berlinga. Po jakichś 2 dniach wzywają, wg nazwisk, chyba ze 3 000 osób, formują kolumnę, wyprowadzają, nokoło jest dużo nkwudzystów z oddziałów zaporowych NKWD z psami, rkmami i formują kolumnę. A ja przy rejestracji podałem panięskie nazwisko matki: Gasiński i pod tym nazwiskiem zostałem wyprowadzony z obozu. Do toru kolejowego do przystanku prowadzili nas chyba z 5 km i nie było mowy żeby ktoś odskoczył bo, powtarzają, bardzo silny był konwój i nawet kobiety, które chciały nam podać chleb czy wodę były odpędzane. Nikt absolutnie nie mógł uciec a po 6 km doprowadzono nas do torów gdzie już był przygotowany tzw eszełon: transport wagonów towarowych. Co było przy następnych etapach nie wiem: ja byłem w pierwszym etapie i stwierdzam, że przypędzili nas do wagonów pod silnym konwojem i nikt uciec nie mógł.

potem często na dalekiej północy wspominałem te słowa.

Po 8 czy 9 latach tak samo sobie mówiłem: żeby teraz jakaś polska armia się tworzyła, to bym wstąpił.

Na drugi czy na trzeci dzień Sowietci ustawili na terenie obozu stoliki, postawili kobiety, żołnierki i zaczęli zapisywać chłopców do Armii Berlinga. Koło tych stolików niektórzy zaczęli krążyć, ale z tego, co mogłem się zorientować, podawali fikcyjne nazwiska, Piłdziński, Chuiński, trudne do wymówienia, Rosjanki prosiły, żeby im powtarzać i tworzył się wisielczy humor. Zapisało się może 100 osób, nie więcej, tych wezwano, uszeregowano w kolumnę i zaczęto wyprowadzać z obozu. W tym momencie zaczęły się gwizdy, krzyki, w obozie było z nami ok. 100 sanitariuszek, te dziewczynki podskoczyły, zaczęły zrywać im z furazerek orzełki, wołając nie jesteście godni nosić tych orzełków. Zaczęto śpiewać patriotyczne piosenki i wyprowadzono ich za bramę. Na drugi dzień okazało się, że dużo ich pouciekało, ok. 30 osób wrzucili spowrotem, też przy ogólnym szumie, i na tym się skończyła rejestracja do armii Berlinga. Po jakichś 2 dniach wzywają, wg nazwisk, chyba ze 3 000 osób, formują kolumnę, wyprowadzają, naokoło jest dużo nkwudzystów z oddziałów zaporowych NKWD z psami, rkmami i formują kolumnę. A ja przy rejestracji podałem panięskie nazwisko matki: Gasiński i pod tym nazwiskiem zostałem wyprowadzony z obozu. Do toru kolejowego do przystanku prowadzili nas chyba z 5 km i nie było mowy żeby ktoś odskoczył bo, powtarzan, bardzo silny był konwój i nawet kobiety, które chciały nam podać chleb czy wodę były odpędzane. Nikt absolutnie nie mógł uciec a po 6 km doprowadzono nas do torów gdzie już był przygotowany tzw eszełon: transport wagonów towarowych. Co było przy następnych etapach nie wiem: ja byłem w pierwszym etapie i stwierdzam, że przypędzili nas do wagonów pod silnym konwojem i nikt uciec nie mógł.

W czasie naszego pobytu w obozie w Miednikach różnie bywało: ilu uciekło, nie mogę stwierdzić, ale jedni uciekali, drudzy przychodzili - dawałem przykład mojego kolegi który wprosił się do obozu; wtedy jeszcze nikt nie wiedział co dalej będzie, krążyły różne plotki, pogłoski i absolutnie nie wiadomo było czy lepiej być w obozie czy poza nim. Co będzie z tymi terenami, jak Rosjanie postąpią z Polakami. Założenie Wilka było takie żeby z oddziałów nowogródzkich i wileńskich stworzyć korpus poślki, były nawet już stworzone ramy organizacyjne, naszkicowana struktura. Nowogródzczyzna miała stanowić 19 dywizji; dowódcą miał być Poleszuk i ten wstępny projekt Czerniachowski zaakceptował, z tym, że jak drugi raz Wilk pojechał na odprawę to po prostu wkroczyli żołnierze, rozbili generała i oficerów i Czerniachowski powiedział: ja mam rozkaz z Moskwy was rozbroić. I na tym się skończyło. Ale to wszystko stało się wiadome dopiero później. A w tym czasie nikt jeszcze nie przypuszczał, że sojusznicy tak postąpią a inni sojusznicy się na to zgodzą.

Ale: nasza podróż. Wagony stały w polu, tzw pulmany, odpoczątkowo 90 osób do jednego pulmana. Do mniejszego - 45. Ten transport był chyba wojskowy, bo przygotowane były prycze, można było kłaść się na górze i na dole. Ja byłem w pierwszej czwórce do 45 osobowego wagonu, weszliśmy z grupą z którą trzymaliśmy się razem, tak był taki spratny chłopak, Ostojka, syn por. Nurkiewicza z oddziałów stołpeckich, którego szwadron się nie podporządkował, nie dał się rozbroić.

Wskoczyliśmy i zajęliśmy miejsca koło samego okienka. Dali nam suchy prowiant: suchały i suszoną rybę, strasznie słoną. Niektórzy z wilniuków mieli jeszcze jakieś paczki od rodzin, my niczego nie mieliśmy, zadrutowano wagon i po jakimś czasie ruszyliśmy. Oczywiście pociąg był pilnowany przez strażników.

Jechaliśmy już chyba z cały dzień, strasznie dręczyło nas pragnienie i było okropnie gorąco: niektórzy mdleli, zaczęliśmy się wymieniać przy okienku, gdzie było najznośniej.

W czasie postojów nasze sanitariuszki, które jechały razem z nami, było ich chyba 2 wagony, przynosiły nam wodę którą nalewały do manierek spuszcanych przez nas z okienka na paskach od spodni. Ale to wszystko było mało: nawet 10 manierek - co to jest na 45 chłopców.

Podczas postojów, odbywających się zawsze na uboczu sprawdzano stan, czy nikt nie uciekł i opukiwano wagony sprawdzano czy nie szykuje się próba ucieczki.

Był też problem, jak się załatwiać: siusiu jakoś można ale gdzie kupę? Doszliśmy do wniosku, że najlepiej przez okno.

Okazało się, że we wszystkich wagonach zastosowano ten sposób. Czasem na zakręcie widać było pociąg a w oknach - same gule tyłki.

Jedziemy dzień, dwa - a pragnienie potwornie nas męczyło. Woda z manierki nie zaspokajała pragnienia a raczej je wzmagala. Naj gorzej - kiedy przejeżdżaliśmy koło rzeczki czy stawu - wtedy robiło się ciemno w oczach.

Był taki moment, że zatrzymali się w szczerym polu i wagonami zaczęli nas wypuszczać pod obstawą. Każdy chciał się załatwić ale nie wypadało znów, bo te dziewczynki nasze, sanitariuszki latały i wodę dostarczały do wagonów i one dopiero mówią chłopcy, jesteście wszyscy żołnierzami, nie zwracajcie na nas uwagi. To też mi utkwiło w pamięci: jak ludzki wstyd zanika w takich momentach.

Spragnieni wody, głód tak nawet nie łokuczał, jak pragnienie, nie orientowaliśmy się nawet w jakim kierunku jedziemy. Koło Moskwy pociąg skręcił na południe. Ucieszyliśmy się ogromnie, że nasze marzenia się spełniły i że wiozą nas na te bazy amerykańskie.

kańskie.

Którejś nocy budzi nas orkiestra melodią rozszumiały się wierzby płaczące. No, witają naszych, wszystko jest dobrze. I wagonami zaczynamy wychodzić. I dostajemy się pod silny konwój automatczików, tzn. żołnierzy, którzy mieli automaty. I pędzą nas przez miasto. Jakoś odczytaliśmy napis że to jest Kaługa. Przepędzili nas przez całe miasto a za miastem był dawny polygon i mówią, że przywieźli nas do pułku, teraz nas podzielą na bataliony, na kompanie, i będziemy się szkolili, a co dalej to zdecyduje dowództwo. Ich kadra już czekała. Do automatczików zgłosili się przeważnie młodzi. I od razu: drużyna - drużynowy pluton - dowódca plutonu; kompania - i odprowadzali do koszar. Tam do łaźni, strzygli, wydawali ubranie radzieckie, z puszek po konserwach kazali wycinać gwiazdki, bo nie mieli gwiazdek i zakaszarowali nas. Ja trafiłem do pierwszego batalionu, do kompanii strzeleckiej. Nas chyba było ośmiu, dwóch trafiło z wileńskiej brygady i na moje nieszczęście jeden nosił nazwisko Andruszkiewicz. Ale chłopak miał refleks i zawsze pierwszy się zgłaszał a ja nie mogłem się przyzwyczaić do swego nazwiska. W pierwszym okresie zapanowała straszna biegunka.

Kaługa krótko była niemiecka, chyba tylko miesiąc czy półtora ale zostały bunkry, rowy i tam nas prowadzono na ćwiczenia. Nasz pułk był chyba 372, specjalny, do którego wcielano ludzi z terenów pod okupacją niemiecką uprzednio. Każdy był filtrowany.

Cykl szkolenia był 3miesięczny i kiedy nas zakwaterowano, właśnie poprzedni kontyngent poszedł na front. Zostali tylko podoficerowie: instruktorzy.

Jeńczenie. Drużynowy siedł z dyżurnym na kuchni i pobierał wiadro na 10 osób, bochenek chleba, zupę czy coś. Był problem dzielenia: wszyscy byli głodni. Unas, a potem się to upowszechniło.

niko: bochenek chleba, kwadratowy, był dzielony na 10 części i ten, który dzielił, brał ostatni.

Ale głód ma swoje prawa: inaczej się traktuje kawałek ze środka bochenka. Kawałek ze skórką wydaje się lepszy. Znow z tego powstawały niesnaski. Ci z naszej drużyny którzy byli obcy skarżyli się, że my ich oszukujemy. Więc wreszcie Zdzisiek przyniósł chleb i mówi do tego, co najwięcej narzekał, chociaż nie była jego kolej: dziel. No, on podzielił to Zdzisiek mówi - wybieraj sobie, który chcesz. Ten wybrał, jemy, a on patrzy na chleb swego kolegi i powiada: a jednak tobie dostał się lepszy kawałek niż mnie. Potem losowaliśmy te kawałki chleba żeby zlikwidować, nie dopuścić do wrogości w stosunkach wzajemnych z powodu jedzenia.

Drugi problem to był problem piosenek. Bo w drodze na ćwiczenia dowódca pułku zawsze stał i przyjmował jakby defiladę. Kazali nam śpiewać - my nie znaliśmy rosyjskich piosenek; śpiewaliśmy polskie. Brygadę, Nasz żołnierz polski doszedł aż do Moskwy, oni się potem zorientowali i zaczęli nas uczyć piosenek ra zieckich. Szło się i rodina maja, kto nie śpiewał, to przepędzali parę razy.

W tym czasie wybucha w Warszawie powstanie, Mikołajczyk przyjeżdża do Moskwy i oni normalnie się z nami obchodzą. Potem na ćwiczenia przychodziła kadra sprawdzać poziom naszego wyszkolenia, my nie mieliśmy z tym problemów bo przecież byliśmy wyćwiczeni, jak nas szkolili podoficer to my mieliśmy więcej od niego niejednokrotnie do powiedzenia, Raz przyszedł na ćwiczenia zastępca dowódcy batalionu, porucznik i zaczęliśmy rozmawiać. Trwało to chyba ze 4 godziny. Co jakiś czas podchodził podoficer: towarzyszc kombat, rozreszatie prodożnat', on: abazdi. Potem mówi: ale wy jesteście obkuci politycznie, potem kiwał głową. Od 37, od Mołachium do Konferencji Jałtańskiej, i pyta skąd wy to wszystko wiecie, więc my mówimy że słuchaliśmy

radia: Moskwy, Londynu, stąd nasze wiadomości.

Ale cykl szkoleniowy się kończy, trzeba opuścić koszary, zaproponowali sąsiadnemu batalionowi, żeby złożył przysięgę i chyba chcieli nas wysłać na front. Tamten batalion odmówił, u nas już nie próbowali, tylko rzucili nas do lasu żeby zaopatrzyć pułk w drzewo na zimę. Mieszkaliśmy w szałasach i kazali nam drzewo piłować. Wtedy też byliśmy niedożywieni, bo karmili nas wg frontowej trzeciej normy, chleb okropny, mokry, zupy wodniste, nietreściwe, kiedyś jeden chłopak dostał repetę od kucharza i nawet z bratem własnym się nie podzielił.

~~XXXXXXXXXX~~ W pułku był jeden podchorąży, ryży i wredny. Pędzał nas, nie dawał nam spać, wygłupiał się. Zdzisiek postanowił, że trzeba mu dać nauczkę. Nasza kompania mieszkała na pierwszym piętrze. Nie było tam żarówki. Postanowiliśmy tam jemu wycisk dać. I rzeczywiście, ktoś mu podstawił nogę, przelecieliśmy go trochę, na drugi dzień była trochę chryja ale zdjeli go od nas.

Tu Mikołajczyk się nie dogadał - tu czas szkolenia mija - wzięli nas, przemundurowali, na ubranie II gatunku, zmniejszyli kadrę, dali tylko nam na pluton sierżanta, i wywieźli nas z drugiej strony Moskwy pod Średniaki i cały nasz batalion przywieźli do lasu; dali dwa dni na zagospodarowanie, wyznaczili miejsca pod ziemianki i po trzech dniach mieliśmy zacząć piłować las. Zrobili z nas tzw roboczy batalion.

Jeszcze przedtem, kiedy chodziliśmy na ćwiczenia, widywaliśmy ludność przy zajęciach: pamiętam starca orzącego pługiem, który ciągnęły dwie kobiety. I wtedy przypomniał mi się ich plakat z 39 roku: pan z bruchem, trzuste policzki, duży bał i do pługa zaprzęgnięty nędzny rolnik i hasło: Pany wami pachali. Potem Niemcy to powtórzyli, w innej wersji: politruk, żyd z gwiazdą i znów - zaprzężony wieśniak i znów jego pędzi.

Ja nieopatrznie się wtedy wyrwałem i mówię: no, widzicie, nami pary pachali a tu na żenszczinach paszut. Spojrzał na mnie politruk i dowódca kompanii i zapamiętał mi te słowa.

Na naszym nowym miejscu był tartak mały i elektrownia i baraki metro, to było chyba przedsiębiorstwo z Moskwy i tam mieszkały studentki, z instytutów moskiewskich. Każdy instytut musiał dać kontyngent, głównie studentki, bo studentów prawie że nie było i w tym lesie one musiały 180 dniówek wyrobić. Pracowały tak długo, aż wykonały tę narzuconą normę. To był tzw. trudowej front. Jak już my wybudowaliśmy te ziemianki, rozdzielono zadania. Automaczyki przeważnie ładowali wagony. Była też kompania tzw. warszawiaków, to byli żołnierze nie pochodzący z tamtych terenów, z obywatelstwem polskim /urodzonych na zajętych przez siebie terenach Sowieci traktowali jak obywateli radzieckich/.

Przechodzimy do lasu, jest przeszkolenie i majster mówi że że by nie było wypadków, każda ekipa /jedna piła-dwóch ludzi/ dostaje odcinek, kwadrat o boku 25 m i na tym odcinku ma wszystko wyciąć, pośrodku ma być ułożony sąg drzewa, gałęzie ściągnięte i spalone. I tak trzeba iść do granicy lasu. Jak ktoś umiał posługiwać się piłą, to dawał sobie radę. Mnie to łatwo przyszło, bo w 41 roku jak nam Niemcy spalili miasteczko, to trzeba było wszystko odbudowywać i też jeździłem do lasu po drzewo na opał, więc umiałem już to robić. Dobrałem sobie z naszego batalionu jednego kolegę i zaczęliśmy piłować. Ale jak drzewo ucięte upadało w niewłaściwym kierunku, to trzeba je było ciągnąć ok. 30 m. Jak było cienkie, to pół biedy ale jak było grube, to straszna robota była. Więc wymyślono taką metodę, że po wykonaniu normy zgłaszało się to sierżantowi i dziesiętnikowi i on stemplował ten sąg, że norma jest wykonana zaznaczał. Można wtedy było iść do ziemianek. A jak nie - to trzymali do godziny 9 i dłużej. On oczywiście

klął, bo musiał razem z tobą siedzieć. I tak mijały miesiące. Najgorzej było jesienią. Żeby piłować drzewo, trzeba je naj-
 p erw naciąć. Żeby naciąć, trzeba stukać siekierą, a jak stu-
 kasz to wszystkie krople deszczu z drzewa lecą tobie za koł-
 nierz. Chodziliśmy mokrzy, głodni, bo cóż to znaczyło, kawałek
 chleba i trochę przeważnie kapusty, po takiej ciężkiej pracy,
 ludzie zaczęli się załamywać, niektórzy dostawali bzika, ja se-
 sam pamiętam taki moment - najgorzej było odejść od ogniska
 tu mróz, śnieg pada i tak stoimy przy ognisku z moim kolegą
 Niedaleko piłują drzewo i mówią: uwaga, bo będzie leciało na
 was, a ja mówię: pieprzę, najwyżej, raz się to wszystko skoń-
 czy. No i leci to drzewo, a my nic, tylko trochę się zgarbilis-
 my. Upadło na nas itak: pień obok, gruby konar jeden z jednej
 strony, gruby konar z drugiej a nas tylko przykryło leciutkimi
 gałązkami.

Oczywiście, przylecieli do nas, sierżant, to myślałem że nas
 zabije, bo gdyby nam się coś stało, on by odpowiadał. Po tym
 szok^I doszedłem do siebie: widać jeszcze mi nie sądzono zginąć
 muszę żyć, muszę walczyć o życie. Jakoś ten kryzys przeszedł.
 Potem nam podwyższyli normę do 10 m³. To proszę sobie wyobrazić
 olbrzymie drzewa, 5 m długości i 1.10 wysokości. Harówa była
 straszna. Jeszcze jak się trafiła odina, brzoza, to jeszcze
 pół biedy. Ale choina, jodła, sosna gdzie dużo gałęzi a mało
 drzewa albo jak się trafiło drzewo tak grube że piła, która
 miała 1.10 m nie obejmowała go, potem przychodziło się do
 ziemianek, spało się na gałązkach, nie było się gdzie wysuszyć
 żadnych kocy ani nic i zaczęli ludzie marznąć, czeznąć.

Mija zima zaczyna się wiosna już było trochę lżej, pojawiły
 się grzyby a przedsiębiorstwo "Las", dla którego niby to prace
 waliśmy zaczęło nam dawać dopełnителиj pajok - tym, którzy

wykonywali normę, dawali na 10 dni 10 deko konserw, z 15 deko kaszy jaglanej - było lżej.

W tym czasie nawiązałem kontakt z matką, która zaczęła mi przysyłać pieniądze. A wokół tych ziemianek zaczął się robić mały bazarek: miejscowe kobiety zaczęły przynosić lepioszki: to były rozgniecione kartofle, z tego zrobiony kotlecik otoczony w otrębach i lekko zapieczony. Zaczął się handel, niektórzy przysyłałowy cukier wymieniali na te lepioszki, o chlebie nie było mowy bo był na kartki i strasznie drogo kosztował.

Czasem było tak, że po pracy budzili nas bo przyszły wagony i trzeba było iść ładować wagony. I znów - póki nie wykonałeś normy - nie mogłeś wrócić do ziemianki. Potem dawali za to pół dnia odpocząć.

Zaczęły się ucieczki. M.in. moich trzech kolegów zaczęło mnie namawiać, żebym uciekał. Ale dokąd. No, na nasze tereny. No dobrze, ale co dalej. A dalej - to miałem tylko mgłę przed sobą - pójdę do tego oddziału, na pewno tam jest, ale co dalej. Nie widziałem konkretnego celu. Oni mnie nie posłuchali, zebrałiśmy trochę konserw, chleba, pomogłem im i on i sobie w nocy wyszli. Potem się okazało, że zostali złapani, bo jednak wielu złapali. Nie było dokumentów, to było obstawione i jak wyjdiesz.

Przyszła wiosna, przyszło lato, wojna się skończyła, a my w dalszym ciągu ten las pilujemy. Już po wojnie przyjechał do nas taki pułkownik, dowódca pułku i oświadczył, że nas wszystkich repatriują, kto będzie chciał, pojedzie do Polski, kto na swoje tereny to też, ale nie wszyscy: bo jak proponowaliśmy żebyście poszli na front to nie chcieliście a teraz wyślemy do Polski tych, których będziemy uważali za stosowne.

Pod jesień wydawało się, że niedługo nas będą repatriować bo np jak się komuś spodnie podarły, to dawali mu te, w który

przyjechał. Ale od czasu do czasu zawsze tam kogoś zabrali niby to w komandirówku, ale w rzeczywistości aresztowali i gdzieś tak w paździeniku przylatuje goniec z rozkazem, że- bym przyszedł do dowódcy batalionu. On mieszkał też na naszym terenie, a przedtem był dowódcą naszej kompanii. Ochrona tych ziemianek to byli starzy żołnierze, przeważnie Tadźcy. Dowódca batalionu mieszkał ze swoim zastępcą, miał swego kucharza i ja melduję się a on mówi to nie twoje nazwisko. A moje. No, jak tak, to idź do smiersza - to była ziemianka kontrwywiadu. On każe mi pisać życiorys, ja piszę, ale piszę, że jestem z innego batalionu, bawimy się w ciuciubabkę, i tak jego na grugi czy na trzeci dzień zdenerwowałem, że on wyjął pistolet, nagan swój, stawia mnie do kąta i mówi: ubiju sobaku. A mnie tak przez głowę przeleciało: zabrać jemu ten nagan, rąbnąć jego i pójść w las. Ale co dalej? Ale trochę się uspokoiłem i mówię jemu: ty zabierz tę zabawkę bo będzie nieszcześnie, ja gołymi rękami automat zabierałem a ty mnie tu straszysz. On się też jakoś opanował, wy dostał z szuflady napisany donos i zaczyna mi czytać, a wie o mnie wszystko, nawet takie rzeczy, o których sam zapomniałem. Zrozumiałem, że jeśli będę się dalej upierał, zrobi mi konfrontację i będę wiedział, kto mnie zasypał ale pogorszę swoją sytuację. Więc przyznałem się do prawdziwego nazwiska, do dwóch akcji, w których się tylko broniliśmy i po dwóch dniach przychodzi dowódca aresztu, wszystko mi oddaje, furazerkę, pas i każe mi iść do dowódcy smierszu. A tam jakiś sierżant jest który mówi - w komandirówku jedziemy do pułku. Tak na ogół robiono z tymi, którzy zmieniali nazwisko i spodziewałem się, że odeślą mnie na tzw podsobne choziajstwo, bo pułk miał swoje gospodarstwo. Jeszcze zameldował sierżant, że nie ma amunicji do swojej peszy, a kapitan mówi, że nie szkodzi, w Kałudze uzupełnimy.

Przyjechaliśmy do Moskwy, a do Kaługi trzeba było przejść na irny dworzec. A w czasie wojny wojskowe dworce były oddzielone od cywilnych. Przyjechaliśmy na dworzec chyba Riazański, mieliśmy pociąg dopiero pod wieczór, kapitan poszedł, sierżant zasnął, ja zacząłem tak sobie chodzić, ale patrzę, że przez dworzec przechodzi cywil z naszym kapitanem i z żoną. Tak mnie coś tknęło: dworzec wojskowy, a tu cywil, tknęło mnie, że to może są nasi z tej misji repatriacyjnej. Z rządu lubelskiego. Ale patrzę - znów idzie ten cywil. Ja go zaczepiłem i pytam co tu robi, że ja też Polak jestem i on mi kazał zaczekać. Poleciał. Nie minęło 5 minut idzie ten oficer - kapitan, trzyma w ręku papierosa jakby kogoś z ogniem szukał. Postanowiłem go zatrzymać, gdyby przechodził koło mnie i kiedy się do mnie zbliżył pytam, pan ognia szuka, to ty, powiada on - to ja. Jak na moje nieszczęście przychodzi w-tedy mój kapitan i od razu "z nim nie lzia rozgawarywat" "To ten mój "poczemu" "odajditie na storonu" Odprowadza go na stronę i zaczyna się rozmowa - widzę że rękami machają, potem mój zawraca i pobiegł. Dzisiaj, to bym pobiegł za nim. A on podchodzi do sierżanta i mówi chodź pójdziemy już do pociągu, sierżant nie chciał, bo pociąg jeszcze stał na bocznym torze, podeszliśmy, konduktorka nas wpuszczała bo "kontrrazwiętka Smiersz", usiedliśmy i z miną zwycięzcy zapytał, o czym mówiłem ze swoim krajanem. Twoje nieszczęście a moje szczęście, że ja wtedy przyszedłem. Przywieźli mnie do Kaługi, wsadzili do aresztu, zaczęło się śledztwo. Wtedy już było zimno, zaczęły się mrozy, pomieszczenie nie opalone, wybita szyba, i najgorzej mi dokuczało, że jedzenie przynoszone mi z pułki było kompletnie zimne albo wręcz zamrożone. Tak mnie potem trzęsło, że zęb na zęb nie trafiał. Przeważnie na śledztwo brali mnie w nocy, jak przyszli sobie podpici. Znów się zaczęło: ja swoje, oni swoje. Sadzali mnie na rogu tabore-

tu, czasami dawali parę razy dłońią po szyi, potem nie można było wcale ruszać głową.

Potem zabrali mnie do więzienia w Kałudze, rzucili mnie do celi ogólnej. Znow - zimno i na kwarantannie siedzieli różni - złodzieje, polityczni, różni. Do mnie się nie przycepiali bo ja byłem w sowieckim wojskowym ubraniu, ale z paczek, rzadko przychodzących, zabierali wszystko, co im było potrzebne. W łaźni golono nas pod pachami i wokół organów płciowych i robiły to kobiety: żeby nas pognębić. Jeszcze trafiały się takie ordynarne baby, prostytutki. Po kwarantannie rzucili mnie do takiej celi, że czterech mogło się położyć a piąty musiał spać w nogach. Na betonie i zbitej z desek kracie. Ja miałem tylko mój żołnierski buszłak. Całe szczęście, że mieliśmy w celi takiego, który miał ciepłą burkę i czasem dostawał paczki. Miał też i machorkę, karaszki tak zwane, jak sieczka. A ja miałem w tym buszłacie taką watę, że można było z niej wykrzesać ogień: brało się trochę waty, skręcało wałeczek, tarło butem o beton i po pewnym czasie był ogień. I on mówił "polaczok, skataj ognia, zakurim" ale zużywałem watę, więc spałem obok niego i przykrywałem się jego burką. Ale - jedzenie marne. Rano kawałek chleba i ztw. kamsu, rodzaj małej rybki, jak szprotka. Na obiad nie zupa - ale woda i dobrze, jak dał gorącą. W tym czasie dostałem wiadomość, że moja sprawa znajduje się u prokuratora kałuskiego garnizonu. Czekam trzy tygodnie a po 3 tygodniach już nie widzę żarówki a przecież żarówka paliła się całą noc, okno było zakratowane i z taw namordnikiem była parasza ale prawie nie korzystaliśmy z niej, bo nie było po czym oddawać kału,

Był tam też młody chłopak, który był w policji niemieckiej trafił do wojska, tam był ranny, wrócił do domu i właśnie za tę policję jego karali. Trzeci z niewoli poszedł do oddziałów

ROA. Czwarty to był facet, który był sołtysem pod niemiecką okupacją i Sowieci wygarnęli go za współpracę z Niemcami. A przecież Niemcy wymagali, żeby był sołtys, wójt, to nie była dobrowolna funkcja.

Jak wywozili na śledztwo poza więzienie. to albo na noc albo z rana na cały dzień.

Pamiętam, raz ten starszy co koło mnie spał dostał paczkę. Tam był taki oni nazywali korowaj - to tak jakby zapiec w misce kaszę jaglaną. Kawałek mięsa, trochę sucharów i to cała była paczka. I - tylko on dostał tę paczkę - jego wzywają na śledztwo. To on się bał to ze sobą brać, bo jakby się tamta szpana dorwała, to by mu wszystko zabrali. I boi się też w celi zostawić. Dał nam trochę sucharów, obiecał więcej, jak wróci i dał kolędze żeby pilnował. Tych dwóch koło mnie dało mi ultimatum: żebym poszedł i wyciągnął tę paczkę, żeby wszyscy mogli poprobować. A jeśli ja tego nie zrobię to oni sami ją zabiorą tylko mnie już niczego nie dadzą. Tak mnie maglowali chyba z pół godziny. Zmówiłem chyba z 5 zdrowasiek, podchodzę niby do paraszy podchodzę do starego, jakoś trszeczkę ten worek odwiązałem odsunąłem jego, wziąłem ten korowaj, mięso, podałem im, zawązałem worek spowrotem, nakryliśmy się czym kto miał i zaczęliśmy to jeść. Zjedliśmy to dławiąc się wreszcie, każdą okruszynkę sprzątnęliśmy żeby w razie czego nie było szumu - a im się wtedy zachciało jeszcze sucharów. Ja odmówiłem stanowczo, wtedy jeden z nich zdecydował iść. A ja, miałem wyrzuty sumienia i zacząłem mu życzyć, żeby ten stary teraz się obudził i go złapał. Jakbym to wymówił. Stary się chyba już przespał - i złapał złodzieja za rękę w momencie, kiedy ten wyjmował suchary. Zaczął się szum; tam straż więzienna jest czujna, od razu podeszli. Ten krzyczy, że go obrabowali. Wyszło od razu chyba ze czterech, kazali nam stać pod ścianą, zaczęli robić rewizję

ale nic nie znaleźli. Wreszcie zaczęli podejrzewać, że starem się coś przyśniło. Straż poszła a następna awantura była rano kiedy ten od paczki wrócił ze śledztwa. Znow przychodzi korpus - ale nie wiadomo konkretnie kto wziął. Przecież wszystkich trzech nie posadzi do karceru. Zagroził nam trzem, że następnym razem, jeśli się to powtórzy, to nas wszystkich posadzi do karceru. A karcer to była cela, dziurawe ściany, szyby powybijane i tylko raz na trzy dni dawali ciepłą wodę. Ale teraz cały dzień trzeba czekać - i słyszę jednemu w brzuchu burczy. Trzeba siadać na paraszę. Drugiemu burczy - a właściciel paczki już wie, kto najedzony. Mnie też burczy, więc się modlę, żeby wytrzymać do wieczora. Nie wytrzymałem: siadam a on znów: a ty, Paliak, też jadłeś, moja krzywda wychodzi. Tak to cudze jedzenie bokiem nam wyszło. Ale skutek był taki że jak on następne paczki dostawał, to trochę się z nami dzielił.

Koniec roku się zbliżał a mnie zaczął nawiedzać ciągle ten sam sen: że siedzę w więzieniu w Lidzie, moja rodzina wyjechała a mnie dalej wiozą w daleką podróż i widzę lasy, śniegi jakies. Ale zaznaczam - jak wstawiałem, musiałem postać z 5 minut przy ścianie żeby zobaczyć żarówkę.

Potem przychodzi taki z rana: sobirajs "z wieszczami". Ja nie miałem żadnych wieszki, więc wychodzę. Dają jakies dokumenty pakują nas do cziornowo worona - tej karetki więziennej, wiozą nas na stację, do wagonu, u nich przy normalnych pociągach były więźniarki, stołypiny. Wagon wyglądał mniej więcej jak nasze kuszetki, z tym, że ściany od strony korytarza były z krat. Okna oczywiście w kratkach, nie wyscielane tylko twarde a na górze były wycięte wejścia i można było wchodzić na górę. Mroź był chyba ze 30° a nas do jednego przedziału wpakowali chyba 27. Ostatniego to już strażnicy wciskali no-

gami. Po 5-10 min zrobiło się tak duszno, że się porozbieraliśmy i prosiliśmy, żeby okna pootwierać, bo podusilibyśmy się wszyscy. A przy wyjściu z więzienia dali mi jedzenia - pajek tzw - na 3 dni. To przeszło połowę zjadłem, zanim dojechałem do wagonu, a w wagonie resztę. Co będzie dalej, to ezłowiek wcale nie myślał - najważniejsze, że dostał kawałek chleba.

Przywieźli nas wagonem z Kaługi do Moskwy, w Moskwie znowu przyjechał czarny woron, zabrano mnie do innego wagonu, który szedł na trasie Moskwa - ~~XXXXXXXXXX~~ Brześć. Ja cały czas jestem w tym radzieckim ubraniu. I przyjmując mnie dowódca pyta, dokąd jadę - a ja odpowiadam: nie wiem. I on trzyma taki mój pakiet i pyta: a ty gorod Lida znajesz? Mnie ciarki po plecach przeszły, myślę sobie: teraz się zacznie. No i wieżą nas, w przedziale jest nas niewielu. Zwrócił moją uwagę zarośnięty człowiek, który splotwał pod ławkę, oczy jak u ryby i coś szwargocze po niemiecku. Był tak osłabiony, że prawie się nie mógł ruszać. I utkwiko mi w pamięci, że jedząc resztkę ryby rzuciłem ości na podłogę a on się na to rzucił i jadł, jak największy przysmak. Raz chcieli go wysadzić, nie pamiętam, na jakiej stacji ale miejscowy nkwudzista nie chciał go przyjąć - i kopniakami spowrotem do wagonu go zapędzili. Z rozmowy się potem zorientowałem, że już zawieźli raz go do Brześcia - i Brześć nie chciał go przyjąć i potem do Moskwy - i Moskwa go nie chciała przyjąć. Brakowało jakichś dokumentów.

Przywieźli mnie do Baranowicz. Tam najjechała więźniarka, załadowali mnie wraz z innymi, zawieźli pod bramę więzienia i kazali siedzieć. Zimno, mróz. - W tym czasie szykowali etap z więzienia baranowickiego, żeby opróżnić cele. I okazuje się, że komendant więzienia nas nie chce przyjąć. Bo nie ma miejsca. Zacząłem się żarliwie modlić do Matki Boskiej Ostrobramskiej, żeby nas przyjęli do więzienia. Bo już widziałem, co się dzieje z takimi bezprizornymi: bałem się, że nas wykończą. Ale po jakimś czasie przyjęli nas. Ponieważ cele były jeszcze nie opróżnione, nieumyte,

nie sprzątnięte, wrzucili nas do karceru. Ale przyniósł nam korpusej, tzn. starszy klawiszy, beczkę balandy, tzn. takiej rzadkiej zupy - aż poparzyliśmy sobie usta grzejąc się tą zupą. Potem nas do celi wrzucili, oczywiście łaźnia, znów te kobiety, i tam posiedziałem chyba tydzień, trochę straciłem rachubę czasu, w tym więzieniu poznałem takiego Białorusina, który był w sowieckiej partyzantce i po nadejściu Sowietów część z nich poszła do wojska, część do milicji a reszta do służby więziennej. I on poszedł do służby więziennej. A ponieważ miał dobry charakter i pomagał więźniom /też nie bez kozery, bo zawsze coś tam dostał/, więźniarkę sobie brał na noc albo przychodził tam do niej, i po prostu jego zakapowali i on uciekł: zdobył sobie jakieś tam dokumenty, to było dość łatwe. Ale gdzieś tam w Nieświeżu narozrabiał, przyprowadzili go do komendantury i wszystko byłoby w porządku ale trafił na swego kolegę który był szefem komendantury, kolegę z partyzantki. Oczywiście: inne nazwisko - czujność - areszt. I razem ze mną jedzie do Lidy, do więzienia. Idziemy na etap, znów do wagonu, we dwójkę jedziemy tylko do tej Lidy, tam już nas nie wieźli karetką tylko przyszedł patrol z więzienia i prowadzą nas do tego więzienia, z którego kiedyś sam miałem uwalniać więźniów. Prowadzą nas, a ja mam tylko jedno życzenie: żeby mnie kto nie zobaczył. Ten Białorusin mi obiecuje, że jeżeli dyżur będzie miał jego kolega, to posadzi nas w jednej celi. I rzeczywiście: w więzieniu była sensacja, że przywieziono ich dawnego współpracownika, przyszli, rozmawiają i pytają o mnie: co to za pareń, mój kolega odpowiada: błagonadiożny, daj mi jego do jednej celi. Dali nas do dość dobrej celi na pierwszym piętrze, ciepło, jakie takie ławy są czy prycze i zupełnie inne niż w Kałudze. Mówimy, że jesteśmy głodni, to powymowali po trochu chleba z paczek i nam przynieśli. Jak przyszła pora obiadowa to otworzyli drzwi i kazali mi wybierać sobie jedzenie z beczki: a w stosunku do Kaługi jedzenie było luk-

susowe - kartofle były oczywiście nie obierane ale za to nie zmarznęte a zupy gotowano przeważnie na podrobach - na nóżkach i główkach kurzych - można się było najęść. Jedzenia było dużo, zaczęliśmy się odkarmiać i nogi mi zaczęły puchnąć, tak organizm nie był przyzwyczajony. Ale mój współtowarzysz znał przepisy, poprosił o lekarza, przyszła lekarka i dała nam takie pigułki, że co pięć minut robiło się siusiu.

Wytworzył się taki cykl: do drugą dobę dyżur miał przyjaciel mojego Białorusina, a co drugą jego wróg, który ograniczał nam jedzenie i jeszcze się wyśmiewał i dokuczał. A przyjaciel przychodził do nas po apelu i rozmawiali. Mnie się nie bał. I kiedyś zaproponowałem mu, żeby poszedł do mojej matki, zawiadomił ją, że ja tu siedzę, będziemy mieli paczki : ty będziesz miał, ja będę miał, po co cudze wyjadać. A dla mnie najważniejsze było dowiedzieć się, czy rodzina wyjechała do Polski. Potem on przychodzi i mówi, trudno, muszę cie zasmucić: twoja rodzina, matka i siostra, wyjechały do Polski. Och, myślę sobie, chwała Bogu. I ten sen, co mi się śnił w Kałudze spełnił się. Zaczęliśmy rozmawiać o tym, kto siedział w tym więzieniu - okazało się, że Pazurkiewicz, mój dowódca kompanii, siedział obok. Bo część naszych oddziałów nie dała się rozbroić tylko rozproszyła się i przedostała się na nasze dawne tereny i tu znów prowadziła działalność ale obronną. A Sowieci za wszelką cenę chcieli ich zlikwidować i ponakli likwidowali. I jego aresztowali, aresztowali też z mojego plutonu rkmistę, Antka Koczyńskiego Tygrysa, szereg osób siedziało wtedy. W celu zastraszenia sąd przywieziony specjalnie z Mińska dał trzy kary śmierci przez publiczne powieszenie. I ten który mi to opowiadał miał akurat dyżur: musiał cały czas pilnować Antka i Pazurkiewicza żeby im się nic nie stało, żeby egzekucja mogła się odbyć: stąd mógł mi opowiedzieć o ich ostatnich chwilach. Mój dowódca cały czas śmiał się i żartował - albo był

takim bohaterem, albo nie wierzył, że go powieszają naprawdę. A znał Antek trochę był zmartwiony - modlił się, dużo płakał. Rano odbyła się egzekucja - Pazurkiewicza wieszali jeden z tych Kazachów, nie ruskich, nawet mówił mi nazwisko, zrobili szubienice na rynku, przyjechał samochód z otwartą burtą, ten sierżant założył mu pętlę na szyję, samochód ruszył, ten jeszcze krzyknął niech żyje Polska i został powieszony przy spędzonej ludności. A tego Antka powiesili publicznie w Pilicy, cały dzień wisiał, postawili patrol, żeby nikt go nie zdjął, ale po dwóch dniach ciało zginęło. Koło Bielicy były takie krzaki, tzw. rojety, gdzie wrzucano zdechłe bydło. I to ciało znalezione wsunięte do brzucha krowy jakiejś czy konia. Oczywiście dano znać rodzinie, w nocy zabrano ciało, pochowali na cmentarzu. W ten sposób chcieli się zemścić: że nawet ciało wrzucili między padlinę.

Coraz ciekawsze rzeczy opowiadał kolega mojego Białorusina - a w tym czasie drzwi się otwierają i wchodzi trzech NKWD-istów. Ale już bez pasa, bez naramienników, bez gwiazdek, witają się, to byli żołnierze z pułku, który przeprowadzał obławy na naszych terenach. To było trzech chłopaków, którzy dostali się do wojska i byli w orkiestrze. Byli pod Stalingradem ale dalej od pola walki bo ochraniali magazyny - dowództwo nie chciało dawać ludzi z orkiestrą na front. Kiedy Rosjanie poszli do przodu, to orkiestra była potrzebna - wszędzie musiała być muzyka, jak oddziały wkraczały. I gdzieś tam odbili się od swojej armii i orkiestrę złapał pułk NKWD. Orkiestrę wcielono do NKWD. I aż spod Lwowa szli na nasze tereny oczyszczając sobie zaplecze. I tutaj zaczęli mi opowiadać, jak wyglądały walki z nami ale z ich punktu widzenia. Opowiadali, gdzie został zabity Tobota, tam Stryjek, tam znów Ragner, gdzie indziej Krysia, opowiadali, że mój znajomy, który został dowódcą oddziału po Ragnerze przyszedł pod Lidę na tzw. taniec płoszczałkę przebrany za oficera radzieckiego i ktoś dał znać. I on

widzi że nia da rady. że wezną jego żywcem, i strzelił sobie w głowę. Wg ich wersji to on nie został zabity tylko przewieziony do Moskwy jako dowód-świadek, że oddziały polskie walczą z ruskimi, podczas procesu Okulickiego.

Zaczęła się wiosna i koło więzienia niedaleko była ich tanczłoszczodka. Ten powiew wiosny, tańce, muzyka, śmiechy, strasznie człowiekowi działały na nerwy. Strasznie mnie to moralnie zabijało. Na tych pogawędkach schodził czas. Opowiadali takie barwne zdarzenia: dano im znać że oddział Ragnera jest gdzieś tam w lesie. No i podchodzą - rzeczywiście, widzą ognisko, wieprzak się piecze, a oni też byli głodni, każdemu ślina leci, więc ostrzelali tych przy ognisku, tamci uciekli a oddział zamiast rzucić się w pościg rzucili się na prosiaka tak byli głodni. Oficerowie zaczęli bić ich pistoletami po głowie ale zanim zaprowadzili porządek to już nie było kogo ścigać.

A ten, który wieszał naszego Pazurkiewicza, sam dostał 5 lat. Jak wracały oddziały z okupacji niemieckiej, z okupacji Rokossowskiego, to żeby oczyścić teren, każda wioska została zasiedlona żołnierzami. Tak, żeby odciąć zaplecze tym wszystkim, którzy jeszcze tam chodzili. I przeczesywali dość często kolonie, tereny, szła tyralierka i szła: przeczesywali las i mieszkania. I jeden z ^{naszych} dowódców - to się często zdarzało - ~~pałatkę~~; przyszedł na swoją melinę żeby się przespać, dokumenty miał pod głową a że kobieta w tym czasie wyszła krowy doić - było wczesnie rano - nawet nie zauważyła, jak żołnierze nadeszli. Ich dwóch weszło do środka zobaczyli buty i zegarek. I jeden chce zegarek, a jeden - buty. Ale nie mogli się pogodzić i zaczęli między sobą się kłócić. Ten się obudził, zobaczył okno otwarte, skoczył przez okno i uciekł. Oni zaczęli strzelać, dostał w bok, ale jakoś szczęśliwie przeszła jemu kula, że nie naruszyła jemu wnętrzości, i uciekł im. Jak tamci oficerowie weszli, zobaczyli kogo mogli mieć w rę-

kach, to dali im po 5 lat. Tak się rola Pazurkiewicza skończyła. Opowiadali też, jak obstawiali swoich oficerów, którzy chodzili na wywiad, jak nawiązywali kontakt ze swoimi wtyczkami, różne ciekawe momenty.

Ale za co oni wpadli. Bo jakby nie było, ta złodziejska żyłka im została. Za bardzo nie byli karmieni, chciało się wypić, chciało się mieć babki, to podczas patroli rabowali sklepy i towar odносили na swoje meliny, do swoich dziewcząt. A to wszystko szło na białych, że to tiali robią, bandyci. Aż wpadli. Bo trafili na sklep, w którym materiał jeszcze nie był sprzedawany. Te ich babki podzieliły ten materiał na kupony i poszły na rynek sprzedawać. Złapali taką babkę, przycisnęli ją, pomalutku wszystko się wydało. Mówili, że o mało ich nie zlinczowano, kiedy przyszli do pułku ich aresztować.

W pewnym momencie wzywają mnie do prokuratora. Nie wiem gdzie idę, przychodzę do prokuratora, który mi oświadcza że ponieważ dostałem § 58 - zdrada ojczyzny z punktami terror, dywersja szpiegostwo i ponieważ przywieźli mnie do Republiki Białoruskiej to muszą mi zmienić § na 63 bo jest inny kodeks. Pyta mnie, w jakiej celi ja siedzę. Jak się dowiedział, że ja siedzę w mojej celi, to już mnie tam nie puścił, bo u nich był taki przepis że wojska NKWD i setrudniki NKWD nie mają prawa siedzieć w ogólnych celach z innymi więźniami. Dali mnie więc do celi, w której siedzieli nasi chłopcy wyłapywani już teraz - którzy wrócili spod Wilna, którzy pomagali - i siedziałem razem z trzema - i zaczynam się dowiadywać - z drugiej strony - o akcjach, o klimacie który istniał w tym czasie. Wieczorem słychał jęki - to oni mówią: o- to Lolka biją, to Lolek krzyczy. To teraz zaraz się do mnie dobiorą.

Kiedys wzywa mnie taki Łazarew i zaczyna się pytać, przeprowadza normalne śledztwo, ja normalne śledztwo już miałem, więc

tylko uzupełniające, ja cały czas się tłumaczę, że przecież przeciw nim nie walczyłem, bo złożyłem broń, pierwsza rozprawa była lekka, potem się mnie pyta, czy ja znam Krzywca. Ja tak wymijająco odpowiadam, bo wiem, że Krzywiec był jeden z pierwszych, jego nazwisko było popularne, oświadczono mi że nastąpi konfrontacja. Więc postanowiłem, że moje zachowanie będzie zależało od tego, jak zachowa się Krzywiec: jeśli się do mnie odezwie, to nie będę się wypierał, jeśli uda, że mnie nie zna to i ja powiem że go nie znam. Wchodzę któregoś dnia do celi, widzę, że stoi ktoś odwrócony twarzą do ściany, odwraca się: serwus Jurek, no to jak on zaczyna ze mną rozmawiać, to i ja. Opowiada mi, że matce dawał pieniądze dla mnie, które ona mi przysyłała do Kaługi. Dogadaliśmy się, do czego się przyznajemy, do których akcji, żeby się wzajemnie nie obciążać, podpisaliśmy protokół naoczego świadka i wróciliśmy do cel.

Potem kiedyś prokurator zadaje mi pytanie, czy ja widziałem kiedyś rozstrzeliwanie radzieckich obywateli. Zaprzeczyłem. To on na to, a, nie będziemy się z tobą sprzeczać, zobaczysz Grosa. Mnie aż mróz przeszedł, bo Gros był przez nas sądzony, dostał wyrok śmierci, ja byłem w grupie, która miała ten wyrok wykonywać i Gros nam uciekł z podwórka, na którym kolega miał go rozstrzelać. Podbił karabin, uciekł, zaczęła się strzelanina i on miał takie szczęście - pokazywał mi trzy blizby : na głowie, na policzku i na plecach. Ale uciekł. A on teraz jak się okazało był komendantem milicji i chciał się dowiedzieć ode mnie kto jego sprzedał. Przywitał mnie dość przyjemnie ale z ironią ale zaczyna mi mówić, że mnie obroni, że ja młody byłem - to o licznosc łagodząca, tylko żebym mu powiedział, kto go zakapował. Ja się upierałem, że wcale nie wiem tego, zacząłem się wykręcać, wtedy on mnie zaczął straszyć, że mnie powiesi, tak, jak

powiesili Pazurkiewicza. Wtedy się zdenerwowałem, odwróciłem plecami i owiedziałem: ja dokonałem przestępstwa wobec władzy radzieckiej i ona mnie będzie sądzić, a nie ty psie. I nie chciałem z nim gadać.

Wrzucili mnie spowrotem do celi. Po dość niedługim czasie zakończono śledztwo, biorą nas na etap, oni się wtedy spieszyli, nie wiem, czy chodziło im o sprawy polityczne, czy o opróżnienie więzień, nam wszystkim zakończyli śledztwo i wywieźli nas do Grodna. Tam mieli nas sądzić. W Grodnie rzucili nas do ogólnej celi: tam się wszyscy spotkaliśmy - był tam Krzywiec, Lolek, Okazało się że Krzywiec miał już wyrobione dokumenty do Polski chciał się pożegnać z bratem, a oni się domyślali, że on się będzie żegnał z bratem, zrobili zasadzkę i go złapali. Teraz ci, część tych, z którymi byłem pod Wilnem, wróci na te tereny ale siedzieli cicho. A Rosjanie zaczęli ich wyłapywać, dochodziło do tarć, do walk. W Grodnie wadzili mnie do nowego, nowoczesnego więzienia wybudowanego przed wojną jak amerykańska: siatki po bokach cel. Po jakimś czasie prowadzą nas pod silnym konwojem: chyba ze 40 ludzi a nas 30 z tego batalionu ragnerowców obok, do sądu. Taka nieduża była uliczka zamknęli ją dla ruchu. Pierwsza rozprawa była informacyjna. Akt oskarżenia, wstępne słowo. Nasze wstępne słowo - moje - mówiłem: chcecie mnie sądzić - bardzo proszę, tylko sądźcie mnie jako obywatela polskiego, bo ja nie byłem w armii radzieckiej i proszę mnie sądzić jako Polaka. A sąd, wojskowy oczywiście składał się z podpułkownika, dwóch majorów sekretarka była, Tatarka. Żadnych obrońców, nikogo. To oni mnie tłumaczą, że w 39 roku przeprowadzone były wybory i my głosowaliśmy z prośbą o przyjęcie nas do rodziny radzieckich republik i w związku z tym ja mam obywatelstwo radzieckie. Ja mówię: ja wcale nie głosowałem, miałem 16 lat i wcale nie prosiłem żeby być sowiec obywatelem.

Tak, mówią, ale twoja matka głosowała, a u nas jest takie prawo, że dzieci mają takie obywatelstwo, jak rodzice. I na tym się nasza rozmowa skończyła. Aż trafił się jeden, który powiada: no dobrze, ich sądzicie jako obywatele radzieckich, a mnie na jakiej podstawie? Ja do 41 roku przebywałem w Warszawie w 42 przyjechałem na te tereny jako członek organizacji AK was tutaj nie było, tu były Niemcy, to na jakiej podstawie mnie sądzicie jako obywatela radzieckiego. Jaka by nie była mentalność tych naszych sędziów, nie potrafili mu odpowiedzieć. A był taki zwyczaj, że wtedy musiał zasięgnąć informacji i odpowiedzieć następnego dnia.

Następnego dnia ta sama procedura, gmach otoczony, w środku też żołnierze z bronią, zaczyna się rozprawa i sąd mówi: wracając do waszego wczorajszego zapytania, dostaliśmy zarządzenie żeby was wszystkich sądzić jako obywatele radzieckich i koniec więcej na ten temat nie będziemy mówić.

Zacząła się rozprawa. Mnie zarzucają terror, szpiegostwo itd walkę w AK, świadczył przeciwko mnie ten Gros, bo on jedyny widział mnie w mundurze, w tej grupie, tylko że ja nie strzelałem, jeszcze wychodząc spytał pułkownika czy może mnie dać dwie paczki papierosów. Ja nie chciałem przyjąć, ale mnie koleżdy zakrzyczeli żeby wziąć, bo nie ma co palić. Nb dobiegłem się później, że on, jak wrócił stamtąd, to się przechwalał że skazał mnie na śmierć i zdarzył się mu nieszczęśliwy wypadek i przestał żyć.

Chyba na trzeci dzień - ogłoszenie wyroków. Jednemu zarzucali - bo jak powiesili Pazurkiewicza, to był odwet z naszej strony i powieszono z 5 czy 6 - z tablicami na piersiach, że za jednego naszego będziemy wieszać 10 - i jednemu ten pułkownik zarzucił, czepiał się jego, jakim prawem on wieszał żołnierza który przeszedł od Moskwy do Berlina itd. A nasz zapytał a jakim prawem powiesiliście żołnierza, który wychował się tutaj,

i walczył o swoje tereny. Na tym mniej więcej się zakończyła dyskusja ich i on, ten Krzywiec i jeszcze jeden dostają wyroki śmierci. Ja też dostałem wyrok śmierci, który od razu mi zamieniono na 20 lat ciężkich katorżnych robót na oddalonych terenach Związku Sowieckiego, jeden kolega dostaje 15, reszta po 10, po 8, parę kobiet było, łączniczek i trzech zostaje do ponownego ślesztwa. I jest taki przepis, że po otrzymaniu wyroku śmierci można od razu napisać pomilowanie, ale na tych chłopców ten wyrok specjalnie nie podziałał, i przewodniczący tego sądu przypomina im, że mają prawo napisać to pomilowanie. A oni odmówili: nie będziemy się przed wami poniżać. I Tatarka nie wytrzymała nerwowo, podchodzi do nich z kartką papieru i mówi, ja wam napiszę, nie trzeba pisać, tylko podpiszcie. Oni jej grzecznie podziękowali i nie chcą pisać. A na sali znajdował się dowódca ich konwoju i paru młodych żołnierzy. I w pewnym momencie jeden młody żołnierz nie wytrzymuje i zwraca się do swojego dowódcy konwoju i pyta się: towarzyszu lejtnant, dlaczego oni nie chcieli pisać pomilowania, nie może zrozumieć, dlaczego mając jeszcze szansę ratowania życia z niej nie skorzystał. A ten dowódca kiwa głową i mówi: oni znają za szto oni beretsa i szto ich źdiot wpieredi, tzn oni wiedzą, za co walczą i co ich oczekuje w przyszłości. Oczywiście nas skuli, wszyscy takich przyprowadzili do więzienia do Grodna. Cele śmierci były na dole. Ich zahrali do celi śmierci a nas na ogólne cele tzw wysyłkowe, do etapu. Tam było chyba ze 30 osób. Na 30 osób chyba tylko nas 3 nie dostawało paczki. Był taki zwyczaj, że ten, kto dostaje paczkę najpierw musi się podzielić z tymi, którzy w ogóle nie dostają a potem dopiero ze swymi bliższymi. Ja po powrocie z Kaługi cały czas jadłem, a mój kolega się dziwił, że ja tak jem.

Ale mu wytłumaczyłem: że jak on pobędzie tam, gdzie ja byłem to też tak będzie jadł. I jakoś się tak odkarmiłem, wzmocniłem się, w celi oczywiście różaniec, modlitwy, opowiadania i siedział z nami taki młody chłopak 14 lat, który dostał 10 lat za to, że nie powiedział, że byli partyzanci u niego. Nauczyciele jacyś byli: bardzo różny przekrój. Jeszcze żyliśmy nadzieją, że nas mogą odbić, że nasi jeszcze mogą wrócić tutaj, Anglicy, Amerykanie, a był tam taki staruszek i on mówi: dzieci, pamiętajcie jedno: że jeśli za 30 lat będzie wojna, to będzie bardzo dobrze. I zaczął nam udowadniać to historycznie. Z początku, młodzi, zapalczywi, myśleliśmy, że mu oczy wydrapiemy. to nie może być prawda i w tej chwili przypomniały mi się słowa porucznika, który właśnie na trybunie w czasie 3 Maja i udowadniał, że na tych terenach polską krew wsiąka nie od dziś, mówił o powstaniu styczniowym, listopadowym, 20 roku i mówi teraz my, pomimo że te tereny Anglicy i Amerykanie sprzedali na konferencji jałtańskiej to nasze walki nie pójdą na marne i kiedyś ta krew zaświadczy że te ziemie są polskie.

Pewnego dnia: sobirajs' z wieszczami. Mnie, Lolka i jeszcze paru do stołypina znów, do tego wagonu, ale tym razem jechało się dobrze, tamci bez przerwy dostawali paczki i mieli dużo sucharów i przywieźli nas do więzienia do ~~XXXX~~ Orszy. Więzienie było na wpół rozbite, nas tam trzymali ze 4-5 dni, znów, prawie w tym samym składzie wsadzili nas do stołypina i przywieźli przez Moskwę do miasta Gorki. W Gorkim ogromne jest więzienie, wieziono nas odkrytym samochodem i widzieliśmy takie twierdze nad Wołgą - chyba to Wołga była - i przywieźli nas do takiego carskiego więzienia, gdzie ściany miały chyba ze dwa metry grubości, wszystko było takie masywne, potem powieźli nas do Kirowa. W Kirowie sala była z 50x

50x50, carska taka, jak leżeliśmy pokotem, to dookoła w dwóch rzędach i rzecz ciekawa: wchodzimy do tej sali, nas było chyba z 10, widać trochę już tych błatnych i chcą nam zrobić rewizję i podzielić się tym, co mamy z sobą. No, nie dali rady, my położyliśmy się w kupie, leżymy a oni nas obserwują. Było tam takich dwóch Białorusinów: sami jedzą, a nam nie dają. I mówią nam: cała sala jest głodna. Wy jego bronicie ale on wam też nic nie daje. Więc zrobimy kompromis, zacznie grać w szachy, weźmiemy te dwa worki, rozrzucimy suchary po sali i co kto weźmie to jego będzie. I znów walka sumienia: pójść na to czy nie, ale drugiej strony oni mają rację. Odeszliśmy, oni podeszli, rozwiązywali te suchary i rozrzucili. Ja wiedziałem że tak będzie: złapałem w obie ręce te suchary, to myślałem, że mi je wyrwą razem z ręką. I na tym się skończyło. On potem miał do nas trochę pretensji ale wytłumaczyliśmy mu, że jego postępowanie też było niewłaściwe. No, uspokoiło się. Z Kirowa powieźli nas do Kotłasu. Tu już byliśmy tylko z Lolkiem w naszym przedziale, ten sam wagon te same obyczaje i w naszym przedziale jechało chyba trzech czy czterech Rosjan: dwóch czy trzech profesorów moskiewskich i dwóch urków, ale złodziei takich inteligentnych z Moskwy z nich jeden dostał tylko rok a drugi jakąś miał mokrą robotę, dostał 10. I ten, który miał rok, już ze sobą wiozł 2 włogancje mundury oficerskie. Nowoczesne kroje, z butami. Więc pytamy, po co mu to. A on na to, że na Północy jeszcze nie mają takiego munduru bo to dopiero w Moskwie wyszło, no krój. To ja ten jeden teraz sprzedam, będę miał wódkę i jedzenie bo dowódca konwoju musi ode mnie kupić bo on nigdzie nie dostanie a z tym drugim przyjadę do obozu i weźmie ode mnie naczelnik obozu i da mi dobrą pracę: i ja ten rok prze-trzymam. Taka jego była filozofia. I rzeczywiście, po pewnym

czasie ten konwój zaczął koło niego chodzić i : sprzedaj. On zażądał pół litra wódki, tuszonkę i chleb.- No ale my wódki nie możemy wam dawać. - Jak nie możecie, to nie dostaniecie munduru. I znów tak - od stacji do stacji: a dacie słowo złodziei czy tych, że nas nie sprzedacie? - Damy. Rzeczywiście, nasi konwojenci, wybrani, gwardia NKWD, kupują wódkę, przywożą więźniowi, dają chleb, kiełbasę, papierosy i zaczyna się ucztą: dali nam popalić, dali po kawałku chleba, i, jak podpili, zaczynają filozofować z tymi profesorami: kto jest w Związku Radzieckim uczciwszy - złodziej czy profesor. Oczywiście, profesor zaczyna się oburzać. A złodziej mówi: słuchaj ojciec ty się nie oburzaj, ja tobie zaraz udowodnię, że ty nie masz racji. Na takich lapidarnych przykładach. Zobacz, mówi: wybrana gwardia, wiezie nas, kupuje ~~masa~~ wódkę robi przestępstwo - ja tego oficera, żebym chciał, to jutro bym jego posadził. Bo on zamiast mnie pilnować, to ze mną handluje. A ty, w swoim miejscu pracy, nie brałeś papieru, żeby prywatny list napisać? Ja nie kradłem, tylko wziąłem I tak dyskutowali. Potem jednak tak skołował tego profesora swoimi argumentami, że musiano mu przyznać rację: że złodziej w ZSRR jest najuczciwszy bo się przyznaje do tego, że jest złodziejem, to jest jego zawód. Oczywiście ja na tym skorzystałem bo sprzedałem swoje buty wojskowe, dostałem za to kawałek chleba i dali mi łapcie, i przywożą nas do Kotłasu. Znów do takiego więzienia peresylnego. Tam zauważyłem w celi jednego rumianego i opalonego, gdy my wszyscy bladzi. I pytam się jego, co on tu robi. A on powiada, że już rok był w Workucie i teraz wezwali go z Rosji na świadka bo gdzieś jakiś proces się toczy. Poprosiłem, żeby mi opowiedział jak jest w tej Workucie, jak to wygląda. On zaczyna mi opowiadać, jaka jest struktura, jak się pracuje, gdzie się pracuje, jakie jest jedzenie, o różnych kotłach: że na I kocioł dostawało się

600 g chleba, zupełnie dwa razy, troszeczkę kaszy i parę gram tłuszczu a na VI kocioł dostawało się 1.100 g chleba, lepsze zupy, więcej tłuszczu - taka była różnica. Są tam mrozy, najlepiej to pracować w kopalni, bo w kopalni nie widać. Opowiadał, jakie w kopalni są możliwości. Potem mi się przypomniała Grzesiuka filozofia, jak był w obozie: że przy marnym wyżywieniu trzeba dbać o to, żeby przy pracy wydatkować jak najmniej energii.

Ja już mniej więcej byłem obkuty.

Z Kotłasu przewieźli nas na Workutę na taki punkt przesylny. Ze mną jechał taki błatnoj, który już tam siedział i mówi - ten komendant to mnie pozna jak mnie będzie przyjmował. Dziwiłem się temu ale rzeczywiście, nas taka grupa była, z 60 osób i faktycznie mój błatnoj zaraz został zauważony. A po kilku latach, jak chciałem zobaczyć, czy nie przyjechał ktoś i siedłem na bramę, ze znajomych, to bezbłędnie mogłem wskazać wasy takich złodziei: oni mieli specyficzne ruchy, specyficzny wzrok, od razu można było poznać, jakby się on nie ubierał.

Przyjechałem do Workuty w okresie lata: białych dni: słońce nie zachodzi, obniża się tylko do widnokręgu, to są tzw. białe noce.

Ale podrodze, jak się jechało, za Moskwą w stronę Gorki - bez przerwy prawie ciągnęły się obozy.

I jak się dojeżdżało do Workuty przez Peczorę to też: tylko wyżki - obozy - wyżki - obozy. Baraki i haraki. Ile tysięcy ludzi tam siedziało, trudno to określić.

Przywożą mnie do Ja-CzeGie. Obóz leży na skłonie pagórka, dalej drugi pagórek, góry, rzeczka jakaś płynie, rzędy baraków między którymi ułożone są chodniki z desek /to jest tundra, jak grunt rozmięknie po deszczach, niesposób byłoby przejść/. Czekaemy przy wartowni, żeby nas przyjęli i widzę taki obrazek: leci jeden w białej kurtce a za nim

leci drugi z nożem. Lecą w kierunku wartowni. Domyślam się, że to jakiś kucharz albo lekarz. Goniący go dogania i już-już wbije mu nóż w plecy. Ale w ostatnim momencie zaczepił o coś nogą, upadł a ten w białej kurtce zdążył wskoczyć do wartowni. Między nami był jeden więzień już uświadomiony który nam wyjaśnił, że pewnie ten w kurtce błatnemu nie dał jedzenia i miały być za to ukarany.

Przyjmuje nas warta obozowa od konwojów i wprowadzają nas na taki barak jakby pieresylny. Na kwarantannę. Barak jest świeżo otynkowany, jeszcze nie wysechł, zyczynamy się rozglądać, w tym czasie było jeszcze trochę kobiet - obóz kobiecy przenoszono na tzw cegielnię, ale jeszcze parę Polek pracowało w barakach sanitarnych.

Obóz obsługiwał 3 kopalnie: 12,14,16. Te kopalnie dopiero się budowały. Cała niecka węglowa na Warkucie wyglądała tak, jakby miski ponakładać jedną na drugą - to były pokłady. Cięciwa była jedna 60 km, druga 40. Było z 70 pokładów węgla, z czego 30 zbadanych do eksploatacji. Nasze kopalnie leżały na płytkich pokładach. Nasza kopalnia - 16 - leżała na głębokości ok. 120 m. Przychodzi tzw nariadczyk - to taka funkcja, jak w niemieckich obozach kapo - on dbał, żeby pracownicy brygady wychodzili do pracy - na określone kopalnie w określone dni i godziny.

Zapomniałem najważniejsze: jak dawali nam ubranie, to, ponieważ byłem katorżnikiem, dali nam numery: wyżej kolana trzeba było wyciąć łatę i naszyć sobie numer, na czapce i z tyłu na plecach. Ja dostałem numer 2 W czyli na polski 2B 315. Z tymi numerami trzeba było chodzić.

Jak przyszedł nariadczyk, ja poprosiłem, żeby mnie wziął na kopalnię. I on wyznaczył mi kopalnię 16. I spisuje do konkretnej brygady. Idę do brygady, brygadzysta musi mnie przy-

jąc do baraku, dać mi jakiś kawałek pryczy, od razu się zaprowiantowuję w tej brygadzie, szukam znajomych, znalazłem jednego Polaka, który mi poradził, żeby w momencie wychodzenia do pracy być w środku grupy albo na początku, bo nariadczyk przychodzi z taboretką, krzyczy bez paslledniewo i bije tą taboretką gdzie popadnie.

Ja tak jego posłuchałem, w pierwszy dzień mi się nie oberwało. A przyjechałem w dobrym momencie, bo kończyło się lato - jeszcze nie było specjalnie zimno, temperatury dodatnie, można się było przyzwyczaić do tego klimatu, do warunków obozowych.

Przychodzimy na tę kopalnię - tylko malutki szybkę stoi, jakaś budka, brygadzieta mnie przeszkolił, czego nie można robić,

Przy przechodzeniu wartowni brygady musiały się uszeregować dowódcy wartowni wysyłając więźniów do pracy przekazywał ich konwojowi. Konwój odprowadzał nas do kopalni, które oczywiście były ochraniać i ogrodzone drutem kolczastym. Odległość była chyba z 1,5 km. Brygady były wyczytywane wg karteczek i wg numerów. Sprawdzano, czy każdy więzień ma określony numer, jeśli ktoś miał zamazany numer mógł go poprawić bo był kawałek bielidła, w tym czasie orkiestra zawsze przegrywała. Po przejściu przez konwój była taka sakramentalna formuła: konwój musi się podporządkować, szag w lewo, szag w prawo, to będą strzelać, itd. I konwój miał prawo zrobić z więźniem wszystko co jemu się chciało. Tzn gdyby ktoś przez nieuwagę dał krok w prawo czy w lewo, konwój miał prawo go zastrzelić bo istniało domniemanie, że więzień chciał uciec.

Kiedy dochodziliśmy do wartowni kopalni następowała ta sama procedura: wartownia przyjmowała ludzi i tyle musiała

wydać. Więc brygadami układano karteczki, każda brygada miała jakby kopertkę.

Ponieważ kopalnie były w budowie, idąc na kopalnię musieliśmy ze składu przy torze kolejowym transportować materiały budowlane na kopalnię. Ciągnęliśmy to, albo nieśliśmy na plecach.

Pierwszy raz nieśliśmy drewniane stemple. Ponieważ ja pierwszy raz schodziłem pod ziemię, brygadziści przydzielili mnie do Polaka który ładował w przodku, to był też młody chłopak. Wzięliśmy lampki górnicze, spuściliśmy się do kopalni szybem dość to było nieprzyjemne, weszliśmy do chodnika, zapach piwnicy, poszliśmy z 200 m, nie więcej, kolega pokazał mi jak odróżnić węgiel od kamienia, trzeba to było oddzielać, i zaczęliśmy ładować. Pełny wagonik trzeba było odwieźć, przywieźć wieź sobie pusty, i znając sytuację zaczynam pytać tego chłopaka, kto chodzi przy cieślu. I dowiedziałem się, że do cieśla nikt nie chce chodzić bo ma tylko III grupę. Szczęśliwie na drugi dzień przyszliśmy na kopalnię jest tzw narad. I brygadziści czy po polsku sztygar daje brygadzie zadanie, co ma kto robić.

A oprócz więźniów na kopalni, tzn katorżników i ek byli batawici, więźniowie nie polityczni, którzy mieli swoją kasę, i byli też zesłańcy, to przeważnie byli Niemcy z nad Wołgi. Jak niemiecki front dochodził do Wołgi, to wszystkich Niemców kolonistów wywieźli do Komi i na Workutę i oni do tych kopalni trafili. I jeden z cieśli był takim Niemcem. Brygadziści zawołał, żeby się zgłosić na ochotnika, więc ja się zgłosiłem. Brygada pojechała, ten cieśla jeszcze poczekał na górze, miał specjalne przywileje, potem spuściliśmy się na dół, przeszliśmy do przodka, nasza praca polegała na obudowywaniu i stemplowaniu chodnika. Zaczęliśmy piłować i

okazuje się, że mnie piła lekko chodzi. Więc mu mówię, jaką mam wprawę, bo się zdziwił. I poprosiłem go, żeby mnie na stałe wziął do pomocy, byłbym piłował, łunki robił, będę pracował. On się zgodził. Zrobiliśmy ze 3 takie stemple, on wydostaje sobie śniadanie, pamiętam, jak dzisiaj że miał ryb bę i chleb. Podzielił się ze mną, wtedy jeszcze można było palić w kopalni, dał mi zapalić, potem godzina druga, brygad jeszcze pracuj, a my jedziemy na górę.

A on miał takie przywileje, bo przeważnie w nadzorze górniczym byli więźniowie - brakowało im zawsze papierosów, chleba. I on im to przynosił. A za to oni jemu wpisywali dobrą normę i jemu dobrze się powodziło. Specjalnie dużo nie pracował. I ja zacząłem z nim pracować, chyba to trwało z pół roku, czasami mi się nudziło, bo on przychodził poppy od czasu do czasu, kładł się spać a mnie kazał pilnować, żeby go naczelnik nie złapał. A łatwo było wykryć kontrolę, bo górniczy nadzór miał akumulatory i z daleka było widać po świetle, że ktoś idzie. Ja go wtedy budziłem, mieliśmy przygotowane zapilowane coś, zaczynaliśmy pracować, ..

Ale jego przenieśli do drugiej kopalni. A jedzenie paskudne, zaczyna się robić zimno, zaczynają się powiewy tego mrozu, pamiętam, że jak już zaczęło wiać, to najgorzej było wychodzić do ustępów. Kiedyś czekam w kolejce a tam siedzi taki jeden, zczerniały: okazało się, że siedzi rok. To mnie przeraziło. Rok, to był straszny okres, nie wierzyłem że tyle wytrzymam. Zwłaszcza że mimo pomocy mojego Niemca jedzenie było straszne: rano dostawało się tę garbuskę, to nie dzieliło się tego na części tylko od razu zjadało, i człowiek głodny cały czas.

Potem brygadzista mnie przerzucił na prochołkę, tzn budowa-

nie chodników. Miałem taki wypadek, że akurat trzeba było podwierać bo chodnik miał za mały przekrój. Więc podwierałem w takim wgłębieniu i czuję, że jakiś ciężar przygniata mi plecy. Wybuch spowodował osunięcie się gruntu i mnie w tym wgłębieniu tak ścisnęło, że splaszczyło mi lampę górniczą. Chyba z pół brygady mnie stamtąd wyciągało, ale nikt nie wierzył że będę cały. A ja miałem tylko rękę spuchniętą, dali mi parę dni zwolnienia, poszedłem do tzw. sanzaścia. I tu się zaczęła gehenna. Bo co robić cały dzień. Nie dostaniesz jedzenia, póki nie przyjdzie brygada. Człowiek głodny, marzy tylko o jedzeniu, podchodzi pod kuchnię, może dostanie się coś na bambioszkę, ale absolutnie nic się nie udaje dostać, i cały czas przed oczyma tylko jedzenie i jedzenie.

W obozie są błatnyje i suki. Na czym to polega. Złodzieje to są ci, którzy nie splamili swego złodziejskiego honoru. Złodziej mógł pracować, ale nie mógł być brygadzystą, nie mógł nikogo zmuszać do pracy. Złodziej nie mógł pracować np. na kuchni. Bo wszystkich swoich braci - złodziei nie nakazami - a złodziejowi musi dać jeść, nie może odmówić, niemoże pracować jako elektryk - bo przy ucieczce kogoś może niechęcący go zdemaskować.

A suka - to jest złodziej, który się sprzeniewierzył zasadom. Między tymi dwiema grupami wytworzyły się antagonizmy. Jak błatnych, czyli czystych było więcej w obozie, to tamci siedzieli spokojnie. A jak więcej było tamtych, to próbowali zaraz tego porządnego złodzieja zsuczyć. Obie te grupy miały przywódców: to byli doświadczeni złodzieje odessy czy moskiewscy, z autorytetem, mieli swoją gwardię przyboczną, kucharza. Mieli taki zwyczaj: jeśli złodziej wykonywał wyrok na suce bo też takie przypadki były, to nie mógł uderzyć śpiącego. Musiał jego obudzić a potem dopiero go nożem przyszpilić.

I były takie przypadki, że w baraku 80- osobowym, gdzie oni mieli swój kącik, przychodził z konkurencyjnego gangu, budził delikwenta, mówił mu przychodzę po twoje życie i dopiero przebijał go nożem . Potem oper - czyli pełnomocnik NKWD przeprowadzał śledztwo - i nikt nic nie widział.

Bo każdy sprzyjał tym błatnym a suk nie lubili bo suki się znęcali. Taki suka potrafił jako dziesiątnik czy brygadziest swojego współtowarzysza tak pobić za to, że nie chciał pracować, że ledwo żywego donoszone go do zony.

Druga straszna sprawa to były te konwoje. Póki było ciepło można było wytrzymać, ale kiedy zaczął się mróz i zawieje w tym czasie nie było żadnych miejsc, gdzie brygady mogłyby się schować, zbierały się na wartowni i jeśli tylko kogoś brakowało, ktoś się spóźnił, odprawa trwała w nieskończoność. Brygada czekała tak długo, póki stan się nie zgadzał A póki konwój jednych nie odprowadził do zony i nie przyszedł po następnych, musieli oni stać na purdze, na mrecie. Biada było temu kto się spóźnił a jego konwój już odszedł bo potwornie takiego bito: to była nieludzka zemsta za to, że on się spóźnił i inni przez niego mazną.

Potem się przychodziło do obozu, dostawało się jedzenie - w zależności od zmiany był to obiad lub kolacja, panował taki zwyczaj, że chleb się dostawało z rana, brało się na cały dzień, albo po obiedzie, zależy, jak dowieźli. Śniadanie się brało oddzielnie, a obiad i kolację - razem.

Do jednego kociołka. Brygadzieta był obecny przy nalewaniu do kociołka, niosło się jedzenie do baraku i w baraku się jadło. Nie mogłem sobie w żadem sposób poradzić żeby porcję chleba dzielić na parę części. Do tej pory nie zjadłem, póki nie zjadłem całego chleba. Całodzienną porcję, zależnie od kotła, jaki się otrzymywało.

Najgorsze były momenty dojścia i przyjścia do kopalni. Pamiętam, chyba w lutym, taki był pagórek, jak tyle ludzi przeszło to śnieg był wyślizgany, a w mokrych butach chyba z 5 razy zlatywałem. Już wszyscy przeszli, już psy na mnie napuszczali i te psy mnie szarpały. Musiałem znaleźć jakiś sposób: starałem się wyprzedzić pewną ilość ludzi, żeby, ja spadnę, ktoś mnie podciągnął. I były tam takie przepychanki.

Jak się dochodziło do wartowni to wychodzili wartownicy i robili rewizję, żeby sprawdzić, czy jakichś niepożądanych rzeczy się nie wnosi. Czy był mróz, czy padał śnieg, czy zawieja, robili tzw rewizję osobistą. I teraz znów, szło przecież 400-500 ludzi i trzeba było na swoją kolejkę nieźle poczekać. Więc wszyscy się pchali, każda brygada chciała się przepchać na przód. Nawet czasem się bili o to miejsce. A chodziło nie tylko o to, by nie marnować ale brygada która pierwsza wchodziła do obozu pierwsza dostawała jedzenie. Łaźni żadnych w tym czasie nie było. W czym się szło do kopalni, w tym się wracało. To czasem zabawne było, bo dawali takie szmaty, coś w rodzaju takiego półpalta, białego. Jak ten górnik wszedł w białym do kopalni to wychodził ni biały, ni czarny. Taki popielaty.

Do łaźni chodziło się co 10 dni. Mycie polegało na tym, że przychodziło się, rozbierało, swoje ubranie oddawało się do tzw prażyłki, tam się niszczyły wszystkie insekty. Wchodziło się, a tam siedział taki jeden i dawał mydło w płynie i ceberek ciepłej wody. Póki się rozmazałeś, a drugi na płukanie. Człowiek nie mógł tą ilością wody dobrze się umyć, ale nikt o to nie dbał. Na pryczach się spało, były w barakach prycze podwójne: nagorne i nadolne. Lepsi w brygadzie lokowali się na dole, a komu zostało, to włożył na

górze. Ja z początku spałem na górze. Nie było żadnych sienników tylko to, co się miało na sobie, to się pod głowę wkładało i się spało. Były jakieś takie prawa obozowe, że nie można było ukraść chleba. Jeśli kogoś na tym przyłapano, była tylko jedna kara: straszliwe bicie albo podejmowali za tyłek i opuszczali do ziemi /?/, taki spadał, wszystkie narządy wewnętrzne się obrywały i ponosił po jakimś czasie śmierć.

Oczywiście, druga sprawa: duża umieralność. Ze mną przyjechali tacy Łotysze, szeroocy w barach, dobrze zbudowani. Po roku nie można było ich poznać. Nie było witamin, nie było właściwego odżywiania. Jak w czasie mrozów dostawialiśmy 20-30 g masła, to co to znaczyła. A jeszcze połowy się nie dostawało, bo musieli rozkraść dla tych swoich proderków, ci, którzy w kuchni nalewali zatykali chlebem czerpaki i zamiast 10 g tam wchodziło 5. Druga sprawa: ci z kuchni robili nieprzyjemne sztuczki - doczepiali do czerpaczka na nitce kawałek konserwy czy mięsa i przy nalewaniu każdy widział, że do kociołka dostał się taki kawałek a w rzeczywistości nie było. Wszyscy się zastanawiali, gdzie to się podziało, kto to wziął. Zaczynały się draki i szum. Po roku nikt nikogo nie poznawał. Ludzie pozamieniali się w szkielety.

Mnie po wypadku brygadziśta postawił na płycie koło maszyny wyciągowej. Moim zadaniem było doczepiać wagon, opuszczać i wyciągać. A tam stawiali rozsądnych ludzi, bo bywały takie wypadki, że jakiś źle zaczepił, wagon spadał i wyrąbywał parę metrów i robił zator. z tego tytułu były nieprzyjemności. Ze mną pracował taki, co 10 lat przesiedział w Kołymie. On mnie wprowadzał w ~~xxx~~ arkana spraw normy życia obozowego, uczył, jak się trzeba zachowywać. Mówił: jak coś ciebie nie dotyczy to nie zwracaj uwagi, nie nadeptuj nikomu na obcas, bo ktoś niewiedząco spławię byłym zarządcy obozu: widzisz, że ktoś coś robi,

nie twoja sprawa, nie mów. Jak będziesz za dużo mówił, to ci łeb ukręca. I potem przeniesiono nas, ponieważ kopalnia się rozrastała, nowe chodniki, nowe pokłady, stworzone tzw brygady dwizenja. Ta brygada wydostawała urobek z przodków. I ja zacząłem pracować w tej brygadzie. Właśnie tam, gdzie zacząłem.

Kiedyś byłem świadkiem wielkiego szumu - był taki dziesiątnik - suka, przyszedł do przodka i zaczął poszturchiwać jednego z tych Łotyszów o których wspominałem wcześniej. Łotysz się zdenerwował i go trzepnął. Całą skórę mu zdarł z ucha, dosyć go uszkodził, więc suka zwołał swoich popleczników i polecili do przodka. Nie wiem, co z nim zrobili ale ja go więcej nie widziałem, żeby przez wartownię przechodził.

Tutaj miałem lżejsze prace bo dużego ruchu nie było, parę razy się opuściło ten wagon, parę razy się wciągnęło i jakoś się żyło, aby dalej. Sztygarem tej brygady był jakiś chyba Polak, mówił po polsku i on chciał mnie zrobić brygadzystą tej brygady bo mu wpadłem w oko, chciał, żeby mi było lżej. A ja mówię, że brygadzystą nie będę: dość nasłuchałem się rozmów Rosjan którzy byli w obozach niemieckich. I co się działo, jak dostawali wolność. Że ci, którzy mieli jakiegokolwiek stanowiska, w jakiegokolwiek sposób się narazili innym, byli po prostu rozszarpywani. Więc ja mówię: nie, nie będę nikogo zmuszał do pracy. A to na tym wtedy polegało, żeby te szkielety zmuszać do pracy. I jak odchodził ten dziesiątnik, to jego zastępca bał się że ja zajmę jego miejsce i zaczął się do mnie przyczepiać. Kiedyś w lecie, w czerwcu miałem okropne czyraki na plecach. Powtórzyło mi się to, co miałem w partyzantce. 10-15 czyraków i nie można było chodzić. I on mnie zmuszał do pracy a ja odmówiłem, wyjechałem na górę i zacząłem się wygrzewać na drewnie

które tam składowano. To ten napuścił na mnie zbira, takiego sadybę: ja patrzę, a tu idzie na mnie z takim ładnym kołkiem I myślę sobie, jak on mi zacznie grzebać tym kołkiem po plecach, to mnie zabije. On podchodzi, ja wstaję, żeby mnie z daleka widział i mówię mu, że jestem chory, pokazuję mu te plecy, nie mam siły a dziesiątnik mi każe pchać wagony. I jakoś przemówiłem mu do jego sumienia, bo kazał mi iść do lekarza i wziąć zwolnienie, bo jak nie, to ja cię tym kołkiem przybiję. I mówię później do dziesiątnika: widzisz gnoju nic mi nie zrobił. Ale myślę sobie: niedobrze zaczyna się dla mnie tutaj wykończą mnie. A ponieważ nie pracowałem to poszedłem a tam do kantorka kierownika tej kopalni, nariadczyk po przeprowadzeniu zmian tam się zawsze rozliczał - że przyprowadził tylu a tylu ludzi do kopalni i musiał za to wziąć pokwitowanie. I usłyszałem jak kierownik kopalni pyta "kiedy ty mi przyprowadzisz tego młotobojca" Ktoś tam odpowiada, że nie ma etapu, a jak jest etap to nie ma specjalisty. Myślę, dobrze, że oni potrzebują specjalisty, może ja się tu zaczepię. A w czasie okupacji jak Niemcy przyszli, koło mego domu była kuźnia, często tam chodziłem po najświeższe wiadomości. Czasem kowal prosił, żeby mu pomóc; mniej więcej obecadło sztuki kowalskiej poznałem to się w życiu przydało. I podchodzę i mówię, weź mnie, ja jestem młotobojec. A ty pracowałeś ile? 3 lata. A gdzie pracujesz? W brygadzie dwiżenja. To niedobrze, nie puszczą cię stamtąd. Ale ty nic nie mów nikomu. A ja zorientowałem się już że naczelnik nieźle już mu głowę suszył o tego specjalistę. I powiedział mi, żeby cicho siedział a jak przyjedzie naczelnik nkwudzista i podpisze, to tamci nie będą mieli nic do gadania. Zgodziłem się na to i poszedłem z brygadą do obozu. Rano wychodzę, brygadzista mi daje pracę i on zaczyna się śmiać: no, stępiłem twoje ostrze, postawiłem na swoim. Ja nic się nie odzywam. Po dwóch dniach: Andruszkiewicz prze-

chodzi do brygady Gormestrech /?/. Oni: CO? Jak? Co? "Nic nie macie do gadania, tak podpisał naczelnik". I biorą mnie z baraku i przerzucają do tamtej brygady. To była brygada obsługująca wszystkie centralne urządzenia kopalniane. A ponieważ kopalnia się rozbudowywała, to byli potrzebni ślusarze, elektrycy, kowale. Przychodzę do tej pracy, a to już była elita górnicza. Mieli już swoje pomieszczenia, zrobione przy okazji rozbudowy, jakieś komórki i nieduża kuźnia była. Przychodzę do tej kuźni a kowal, starszy człowiek, okazuje się, kubański kozak. O, do niego trzeba jakoś podejść, bo wypędzi mnie i ja zginę tutaj. Więc wziąłem go na litość: młody jestem, mówię, pracowałem koło kowala, dobrze jeszcze nie umiem, ty też masz może dzieci. On tak na mnie spojrzął i mówi: mnie nie trzeba specjalisty tylko dobrego chłopca, ja cię nauczę zawodu. A jemu dawali do tej pory zawsze pomocników ślusarzy i ci nie chcieli bić w kuźni młotem. I ja zacząłem w tej kuźni pracować. To z początku było nieprzyjemne, bo jak się ciągnie żelazo młotem to on młotkiem dyryguje. Jak on położy młotek, to trzeba przestać, a jak w górę, to trzeba ciągnąć. Było tak że ja zamiast po żelazie to po jego młotku uderzyłem. Ale on mnie to derował a ja mu za to coś wyczyściłem, przyniosłem węgiel, chodziłem, jak koło dziecka. Jemu się to podobała. Po czterech dniach przychodzi mechanik i pyta, czy mój kozak zadowolony. I słyszy - nie wtrącajcie się, ja z nim będę pracował. I wtedy cieśle potrzebowali gwoździ, zawsze do mnie przychodzili i ja im wyrabiałem z drutu gwoździe i ostrzyłem. Oni mi dawali a to kawałek chleba a to trochę tytoniu, machorki, i dzieliłem się z tym dziadkiem. Tak miałem pół roku życia, jak to się mówi, u mamy za piecem. Nikomu się nie narażałem, pracowałem sobie, jako tako żyłem ale po pewnym czasie przychodzi jeden z błatnych i chce, żebyśmy mu zrobili finkę. A za to była kara więzienia, a złów nie zrobić, to

to może kości połamać. Im wszyscy musieli służyć. No, a dzia-
dek zaczął się wykręcać, że nie umie, nigdy tego nie robił
ale się zmusił. Obiecał, że zrobi ale na nasze szczęście zabra-
li tego błatnego na etap i on się od nas odczepił.

Ale w tym czasie był u nas mechanik - Białorusin. Miał 5 let-
ni wyrok i żył z więźniarką która też miała niewysoki wyrok
i chciał się z nią po wyjściu ożenić. On do Poleków czuł symp-
patię. Ja z tej kuźni wychodziłem, a on był za jakiegoś prze-
nośnika. Udawałem do niego cwaniaczka. Ale on mi nie wierzył,
uważał, że jestem za młody. Ja do Polaków czuję sympatię, ja
cię nauczę fachu, powiada, tobie się zawsze fach przyda. Czy
będziesz tutaj, czy wyjdiesz, zawsze już nie pójdziesz na tę
łopatę. Ja go przeprosiłem i oczywiście po pewnym czasie
kuźnie już pozabierali a na 14-tej się budował taki kombinat
centralna kuźnia która miała obsługiwać nasze trzy kopalnie
i zabierali tego kowala do centralnych zakładów. A mechanik
mnie zostawił i dał mnie do ślusarza do pracy, na pomocnika
Ta praca polegała na remontach, znów urządzeń: wentylatora ce-
centralnego, maszyn wyciągowych, podnośników, maszyn nagrzew-
niczych, w ogóle wszystkich urządzeń, które musiały działać
w kopalni. Mimo że pracowałem nie tak ciężko fizycznie jak na
łopacie, byłem wykończony. A jak ta praca niszczyła ludzi
można się było zorientować po numerach. Z literą A to był
pierwszy tysiąc, który przyszedł na Workutę w 43, jeszcze wte-
dy nic nie było, dopiero zaczęli budować to wszystko. Jak
się zobaczyło literę A, to była 1 czy 2 na cały obóz. Poje-
dynczy alfabet już wtedy był bardzo rzadko spotykany a pod-
wójny jeszcze się widziało dość często. Bo najpierw była
litera A a potem 2A.

Ja zacząłem puchnąć i chudnąć, szkorbut się do mnie przycze-
pia. Myślę sobie, chyba przyczepią mnie birkę do nogi,

birka to jest taka tabliczka którą przyczepiano do nogi umarłego. Takiego zmarłego ciągnięto na wartownię, z wartowni przychodził taki wartownik brał drewniany młotek i tym młotkiem uderzał parę razy po głowie każdego, żeby ożył. To może było uzasadnione w lecie. Ale w zimie? No, -40° , a ten nagi i jeszcze młotkiem, to absurd. Taki był podobno przepis. Zdarzały się próby ucieczki - ludzie uciekali po prostu z desperacji. Na ogół niedaleko uciekali, bo ich przywozili i dla przykładu kładli koło wartowni i jak brygady szły do pracy musiały patrzeć na zabitych współtowarzyszy, żeby wiedzieli wszyscy, że ucieczka nie popłaca. Dużo było wypadków samookaleczenia. U nas jeden pracował w naszej brygadzie skombinował sobie zapalnik, podłączył do aparatury i urwał sobie kawałek ręki. Tym samym uratował życie, bo nie poszedł do kopalni tylko na obsługę maszyn w obozie. Dobrze było być dyżurnym, który obsługiwał baraki, dobrze było dostać się do łaźni, no a szczyt wszystkiego to było dostać się na kuchnię, ale tam tylko swoimi obsadzali, z tymi, którzy z nimi współpracowali, bo na terenie obozu, wszędzie, były wtyczki. Każda brygada miała swoją wtyczkę, która donosiła, co się dzieje w obozie, jakie są nastroje itd.

U nas w brygadzie była z początku mieszanina, pracował Ukraińiec, który dostał się do niewoli, później poszedł do Armii ROA i potem był kierowcą majora z którym zawsze jeździł. Drugi był Iwan Iwanycz, brygadzysta, był po prostu w policji niemieckiej. Jego brat pojechał na Zachód, on sam też, a jak wrócił to go zamknęli. Był Litwin, nie wiem za co go posadzili, nie opowiadał o sobie. Był jeden z Mandżurii, więziony, normalnie uciekł w 20 roku do Mandżurii. I jak Rosjanie weszli tam to tych Rosjan, co uciekli w 20 roku wrócili do Rosji i część pośadzili a część dali na zsyłkę

Głównym mechanikiem był Rosjanin - inżynier, który pracował w instytucie górniczym. Pochodził z inteligenckiej rodziny. Jego praca polegała na tym, że badał maszyny górnicze, które Rosjanie sprowadzali z zagranicy w określonych zagłębiach węglowych: Podmośkowskij, Karaganda, Donbas itd. Więc on badał kombajn czy przenośnik, w określonych warunkach go składał i wydawał opinię, czy ta maszyna nadaje się do eksploatacji na danych pokładach w Związku Radzieckim. Strasznie nie lubił Polaków. Za co? Bo jak trafił do niewoli i siedł koło Tarnopola, to siedł taki zabiedzony, zachudzony i mijają ich grupę jakaś Polka w futrze i splunęła na nich i powiedziała: to bydło, nie ludzie. I jemu się to zapaniętało. A jakiś miał żal. Że mimo tego, że wrogowie poniżają, to jeszcze kobieta. Ja mu tłumaczyłem, że to na pewno nie była prawdziwa Polka, że ~~szukaj~~ Polka nie mogłaby się tak zachować, ale mu tego nie wytłumaczyłem. I potem jak ich brali do niewoli, to z tej grupy zrobili grupę rozminowania tzn że jak Anglicy rzucali bombę z opóźnionym zapłonem, to ta grupa więźniów rozkopywała i rozminowywała te bomby. I kto przeżył, mieli tam chyba stawkę 10 bomb, temu darowywali życie i za to potem jego posadzili do więzienia i dali jemu 15 lat. Że współpracował z Niemcami. Był taki też znów jeden inżynier elektryk, też Rosjanin, który trafił do niewoli i pracował w kopalni niemieckiej. I przypadek, że prądnicą nawaliła i on się tam wtrącił. Niemiec go jednak odrzucił od tej prądniczki ale nie dał rady i on jemu uruchomił i od tej pory zaczęła się jego kariera majstra a jak przyszli Rosjanie to dali mu wyrok. Sporo słyszałem takich historii, że ludzie musieli pracować, by nie zginąć a potem musieli za to odpowiadać. No i doszło do tego, że ja zacząłem tracić na wadze i wi-

dzę, że idę na tamten świat. Jak patrzyłem na mój pośladek to nie mogłem znaleźć kawałka mięśnia. No i modląc się do Matki Boskiej coś mnie natchnęło, żeby iść do sanchastii żeby dali jakieś zwolnienie, bodaj na 2 tygodnie, bo taki był tam zwyczaj. Kto dochodził już, to spisywali na 2-3 tygodnic i obsługiwało się urządzenia w obozie, na kuchni, zmarłych chować, śnieg zmiatać.

W tym czasie był tam taki Żydek z Warszawy. Bo uciekinierzy żydowscy z Warszawy jechali dalej do Rosji, nie zatrzymywali się długo na naszych terenach. A w głębi Rosji ich izłowali, wysyłali na Północ : mieli gdzie wysyłać. I przyszedłem do niego i tak mówię: panie doktorze, ratuj pan mnie i pokazuję mu dupę, on mnie uszczypnął, spisz mnie pan chociaż na miesiąc żebym nabrał trochę życia. A on mówi: o, miesiąc to u nas wolni odpoczywają, dam tobie 2 tygodnie. I przyszli kupcy, żeby z tych zwolnionych nabrać sobie pracowników. I przyszedł kupiec z sanchastia, kuchni szpitalnej, bo zasadniczo były dwie kuchnie: jedna obsługująca baraki a druga - baraki szpitalne. I ja mu tak jakoś wpadłem w oko, wziął mnie. Tylko powiedział: jedz, ile chcesz, tylko nie kradnij. I ja na tej kuchni pracowałem chyba cały miesiąc. Przez pierwsze dni to człowiek tylko jadł - pił - jadł - pił. Ten tłuszcz, olej, jakoś nic mi nie szkodziło, swoje jedzenie całodzienne oddawałem kole-dze Polakowi w moim baraku, a tylko chleb zostawiałem. Pomimo, że byłem najedzony, to brałem chleb, jadłem, chociaż już nie mogłem. Po miesiącu zostałem zbadany przez komisję - bo trzeba przyznać, że tam co jakiś czas była komisja - przychodziło się, rozbierało przed takim szanownym gremium i lekarz, w zależności od ilości mięsa na pośladku dawał

kategorię: pierwszą, drugą, otóż w czasie tej mojej komisji lekarz myślał, że jestem opuchnięty, zaczął mnie dotykać, i mówi - pierwszy raz widzę, żeby przez miesiąc człowiek tak się poprawił. I z początku spowrotem mnie sprowadzili do mojej brygady. Ale ja już miałem znajomości. Mówię do Miszki - ja będę tu do ciebie przychodził, pomogę kotły myć a ty mi za to dasz trochę kaszy. On się zgodził. I ja do tego swego brygadzysty mówię - a wtedy chodziliśmy na noc - daj mi jakieś dobre miejsce a ja będę ci przynosił jedzenie. I tak było. Na kopalni była taka nagrzewnica, która osuszała powietrze w szybie żeby zamarzająca woda nie blokowała szybu. I tam trzeba było dyżurnym być. I on mnie tam zamykał i ja spałem. I on pilnował, żeby tam nikt nie przyszedł w razie czego na kontrolę. A ja przychodziłem z pracy, szedłem na kuchnię, brałem po skończonej pracy kociołek z kaszą, dawałem jeszcze kolegom i dawałem jemu i on miał jedzenie i ja miałem spanie i miałem dobrze. I tak to trwało chyba przez 3 miesiące. W tym czasie zaczęli płacić po 30 - 40 rubli miesięcznie. I ten kucharz, jak przyszedłem mówi: tu masz masło. A Rosjanie na wszystkie oleje mówią masło. I ja wziąłem tego oleju, sprzedałem go, połowę pieniędzy sobie wziąłem a połowę jemu zanoszę. Mówię, masz tu pieniądze, mnie one niepotrzebne a tobie się zawsze przydadzą. I tak znów z miesiąc idzie. Zarabiam, jem i w pewnym momencie przychodzi kierownik kuchni i - tam mnie Bolszój nazywali - pyta mnie Bolszój, co ty tam masz. Ja mówię, nic, kaszę mam. Pokaż. Myślę sobie, jak ja otworzę ten kociołek i on zobaczy że tam jest olej, to będzie na tego Miszkę. To ja go bykiem uderzyłem w piersi i poleciałem sobie i uciekłem. No, więcej nie przyjdę, moja praca w kuchni już się skończyła.

Ale mój organizm już wrócił do normy, już zaaklimatyzowałem się, czułem, że już będę żył na tej Workucie. A w tym czasie się już wybudował kombinat, tzn. pomieszczenia socjalne, główny szyb, wszystkie urządzenia na powierzchni, na naszej kopalni już się zaczęło wydobywać węgiel. Tak że już wybudowali między obozem i kopalnią tzw korytarz podobny do tego jaki zwierzęta w cyrku mają przy wyjściu na arenę, tylko góra nie była zadratowana, drogą nam zrobili taką estakadę i wtedy już było łatwiej bo brygada przychodziła tylko na wartownię, wartownia liczyła, przepuszczała i druga wartownia przyjmowała. Już nie trzeba było czekać na te konwoje.

Chciałbym jeszcze dodać że rzecz, którą będę pamiętać całe życie to były zorze polarne, które zaczynały się w styczniu i to było coś wspaniałego. Pomimo, że człowiek był zagłodzony, to jednak wzrok sięgał do tego nieba, to było tak wspaniałe i niemożliwe do opisanie. A gdzieś koło marca - tzw purgi. To takie były zawieje, że nie było widać wyciągniętej dłoni. Taki tuman śnieżny, że kręciło się wszystko. Były takie przypadki, że brygada pod konwojem rozbiła się na części. Ale wtedy było takie niepisane prawo, że nawet jeśli dotarłeś do innego obozu, to wartownik stojący na wyżce nie strzelał do ciebie, szło się po drutach do wartowni która przyjmowała i odsyłała do obozu. A tam praktycznie w każdym kierunku był jakiś obóz, więc przynajmniej można było mieć pewność, że gdzie byś nie poszedł, zaraz natrafisz na jakiś obóz. A jak już ten kombinat wybudowali, to już można było wyjechać z kopalni, pójść się umyć, zaczęliśmy dostawać robocze ubrania, i organizm jakoś się przyzwyczaił chyba

słabsi już poszli pod mech, jak to nazywaliśmy a ci lepsi zostali. I zaczęło się wtedy nawiązywać kontakty między krajanami. Zaczęliśmy się organizować jak gdyby w społeczeństwo posłkie. Jeden drugiemu zaczął pomagać, w naszym obozie było tak w granicach 6 000 więźniów, którzy obsługiwali te 3 kopalnie i m.in. było zawsze ok. 100 Polaków. To gdzieś tak 95% było Polaków z AK a reszta - inne przypadki. Byli młodzi chłopcy, byli oficerowie, byli starsi panowie którzy zajmowali lepsze miejsca w obozie i zaczęliśmy jeden drugiego podtrzymywać na duchu. Nawet więźniowie - nauczyciele zaczęli trochę dbać o tych młodych, dawali im lekcje języka polskiego - byli tacy, którzy nawet podstawowej szkoły nie skończyli i mniej więcej wiedzieliśmy, gdzie kto pracuje, żeby w razie czego pomóc słowem bo w tym czasie nasi zaczęli pracować jako brygadziści czy sztygarzy więc znów pojawiały się możliwości pomocy, lepszej, lżejszej pracy i trzeba przyznać, że to się nam udawało. Inni nam zazdrościli: mówili że jesteśmy jak Jewreje, tak się między sobą trzymamy. Nawet jak ktoś obcy skrzywdził kogoś z naszych to poszliśmy postraszyliśmy, czasem namiętno spuściliśmy a potem ci nasi starsi panowie jak ja nazywam - bo powstał projekt żeby zatrzeć między więźniami nienawiści narodowościowe, chodziło o to, by stworzyć rodzaj solidarności obozowej skierowanej nie przeciw nam wzajemnie ale przeciw władzy obozowej. Powstawać zaczęły więzi międzynarodowościowe. Jeśli mnie np. Ukrainiec skrzywdził, to ja nie krzykiwałem naszych żeby mu wymierzyć sprawiedliwość tylko zwracałem się do p. Króla, czy do p. Świerczyńskiego a oni to z kolei załatwiali z Ukraincem ciesząc się

wśród swoich podobnym autorytetem. I to było bardzo skuteczne i lepsze niż rozjątrzanie tych niechęci.

Chyba w 1949 roku zaczęli tworzyć tzw ryczałgi. Trwała ta zimna wojna w Europie, to chcieli wyelekcjonować więźniów, bo mieli ich przecież wszędzie pełno - zabrali wszystkich błatnych i sukces i zostawili tylko politycznych. Tych, którzy mieli paragrafy zdrady ojczyzny: 58, 63, ukraińska była chyba nie pamiętam która, i zaczęli do nas przywodzić więźniów z Kołymy, z Murmańska, z innych terenów obozowych Związku Radzieckiego do nas na Workutę. Zaostrzyli reżim, baraki na noc zaczęły być zamykane, jak przychodziło się na noc to wartownik otwierał barak i wpuszczał brygadę i zamykał. Nie można było z baraku do baraku przechodzić bo karali za to i były otwierane tylko w dzień na parę godzin, żeby można było normalnie zjeść. Na terenie obozu już była wybudowana stołówka, tak, że już się nie szło z kociołkiem po obiad tylko normalnie do stołówki, tam były miski, zjadło się i szło się do domu.

I znów napłynęli różni więźniowie. Siedziałem z takim jednym Rosjaninem który był aresztowany w 39 roku w czasie czystki stalinowskiej, on pracował jako oficer nawigacyjny na jakimś pasażerskim statku i jemu dali 20 lat. Wtedy siedział już 17 lat w obozie, ale jaki miał szacunek, każdy dawał mu pierwszeństwo jakby inwalidzie. On pięknie opowiadał i po pracy, jak była zawieja albo silne mrozy słychać było wycie drutów a on opowiadał o swoich podróżach, jak był za granicą, tzw. romanse, naokoło jego wszyscy słuchali i tym samym on nam rozveselał to nasze obozowe życie. Był taki jeden który pracował w kopalni złota na Kołymie. Oni tam mieli dobre wyżywienie i dobrze mieli płacone - nie do ręki, ale na ich rachunek albo po przyjeździe na kopalnię musieli się rozbierać ze swego ubrania, przechodzili przez korytarz, wchodzili do drugiego pomieszczenia gdzie wkładali ubranie robocze i szli do kopalni złota. Przy powrocie była odwrotna kolejność. Za każdym

razem w korytarzu byli prześwietlani. Za większe samorodki dostawali premie, ale te pieniądze znowu szły na tzw osobisty rachunek. Z chwilą wyjściem na wolność dopiero miał prawo do tych pieniędzy.

Jeden mi kiedyś powiedział, że jest takie miejsce, gdzie można sobie dorobić: jest dwóch malarzy w małym baraczkach, którzy robią portrety całej komendzie obozu, malowali też inne obrazy. Oni przenosili ze zdjęcia na siatkę rysunek, przyjrzałem się tej technice, im trzeba było napalić, wynieść węgiel, przynieść węgiel, przynieść obiad i oni za to oddawali swoje dwa normalne obiady. Jeden był adiutantem Kamińskiego, tego, który w Warszawie niszczył Powstanie i on opowiadał jak oni wkroczyli, jak niszczyli, jak mordowali Polaków, a drugi był w ROA i też brał udział w działaniach w Warszawie. I tak, jak on wtedy mówił, to Kamińskiego Niemcy zabili bo podejrzewali, że chce się związać z Polakami.

Ze mną w baraku mieszkał taki jeden Żyd Rosyjski, który był inżynierem, w czasie wojny był wywieziony do Niemiec, tam pracował u Siemensów i tam został. Ożenił się z Żydówką niemiecką a ponieważ Berlin był wtedy połączony - nie było jeszcze muru, można było poruszać się po mieście. On opowiadał, że do U-bahnu strasznie było się ciężko dostać i kiedyś ludzie strasznie się pchali że tłum porwał mu żonę, on nie mógł jej obronić i w gniewie krzyknął job waszu mat'. I hagle patrzy - a koło niego nikogo nie ma - tak wszyscy popryskali. Ale widać ktoś jego zauważył, porwał, przywiózł go tutaj, dostał wtedy, bo już kary śmierci nie było - 25 lat najpierw pracował na ścianie, potem dostał się do nas do brygady a potem się wkręcił i prowadził taki kombinat - kursy, które musi skończyć specjalista górniczy: elektryk, ślusarz, nowy górnik przeszkolenie, prowadził taki klub

techniczny prowadził.

Teraz: w 53 roku chyba dużo przywieźli Niemców. Szczególnie tych z Berlina, którzy tam rozrabiali. Oni ich zgarnęli i do nas przywieźli. na Workutę. Oni prawie wszyscy dostawali po 25 lat. Oni dostawali paczki, jeden mi opowiadał, jak Rosjani ich czołgami przejechali. Oni oczywiście po rusku nie potrafili rozmawiać. Jak się ktoś pytał, jaki wyrok, to mówili russische norma - to znaczyło 25 lat.

Ze mną w brygadzie był jeden który mnie opowiadał o zasadzce którą Bryn¹ zrobił na Swierczyńskiego - Swierczewskiego.

Są wersje różne, ale on opowiadał, że oni się wcale nie spodziewali, że to będzie jechał Swierczyński¹ tylko myśleli, że to będzie ta komisja która robiła prześwietlenie benderowców - Ukraińców. I zrobili zasadzkę i nawet nie wiedzieli, że zabili Swierczewskiego. Rkmistę, który uciekł, po prostu miano rozstrzelać. Ale wtedy przyjechał Ren i dopiero mówi ty nie wiesz nawet kogo zabiłeś, daruj jemu życie i dał mu nagrodę.

Opowiadał o tym, bo krążyły różne wersje, że to zrobili nasi. A tymczasem ta historia którą słyszałem w Workucie nie budzi jakby wątpliwości. Co za sens byłby tam opowiadać kłamstwa. Bo nawet jak nasi opisują, to wynika z tego, że rkm został po drugiej stronie drogi i jak przejeżdżał drugi samochód, to oni, zamiast go ostrzelać, uciekli. Wobec tego zarzut wobec rkmisty był taki, że on nie zaczął strzelać bo stchórzył. A tamten myślał, że to jedzie odsiecz - o to tu chodziło.

Był nawet u nas w brygadzie Francuz, który pracował w wywiadzie francuskim bo były 4 strefy i takie było zarządzenie że nie mają prawa się na ulicy zatrzymywać. Były różne przypadki wykradania sobie wywiadców. I on jadąc z żoną z teatru

¹ Augustin Swierczewski

Więc, kiedy wracał z teatru z żoną, uległ impulsowi: ktoś go zatrzymał i on odruchowo zatrzymał wóz, zapytano go o jakąś ulicę - potem podeszli, wsadzili pistolet, przewieźli go na ich zonę i zaproponowali mu współpracę. On odmówił, a u nich takie były przepisy, że jeśli ktoś przez 24 godziny nie daje znaku życia to jest spalony - więc Rosjanie przewieźli jego do Moskwy, potrzymali na Butyrkach, potem przewieźli go na Workutę i dostał zdradę ojczyzny, 25 lat.

- Zaraz: zdradę ojczyzny - jakiej?

- Radzieckiej! Oni wszys^{tkim} dawali taki paragraf. Chociaż to był Francuz - nie mieli na jakiej podstawie go sądzić. A na jakiej podstawie sądzić Niemców? Dawali paragraf 58 i koniec.

- Ale ten paragraf miał wiele podpunktów.

- Ja tych podpunktów nie pamiętam, na pewno miał szpiegostwo. Jeszcze co ciekawe, ten inżynier opowiadał, że Rosjanie aresztując specjalistów w swojej zonie od razu ich do obozu nie przywozili. Trzymali ich w Moskwie, pod specjalnym nadzorem, gdzie robili najpierw tzw drenaż mózgu. Przypuśćmy, ktoś był elektrykiem. Więc przydzielano go do zespołu elektryków i pracował z uczonymi, specjalistami radzieckimi. Do tej pory go trzymali, póki on z siebie dawał coś nowego, coś wartościowego. Kiedy już wszystko z niego wyciągnęli - odsyłali go do obozu. Od nas wzięli jednego narzędziowca, który pracował dwa lata w Moskwie, robił rozmaite przyrządy, oczywiście obowiązywała tajemnica, każdy podpisywał zobowiązanie, że tych tajemnic nikomu nie ujawni. U nas w brygadzie był jeden Niemiec, do którego przychodził generał. Niemiecki, też miał wyrok. Ale co mi się podobało u Niemców: kiedy pojawiał się przełożony - ich dawny przełożony, ktoś wyższy szarżą, to wstawali na baczność i siadali dopiero po otrzymaniu zezwolenia. Czuło się ten pru-

ski dryl.

Około roku 53 zlikwidowano reczłag. Chyba to było przed strajkiem. Ale chyba po. Zaraz sobie skojarzę - czy rzucili już błatnych na strajk, czy nie.

Umarł Stalin. Zaczyna się tzw odwilż u nich. I chyba w 54 roku dokładnie nie umiem powiedzieć, zaczyna się u nas na Workucie jakieś takie podniecenie, zaczynają się strajki.

- To chyba w 53?

- W 53 umarł Stalin.

- Ale w marcu.

- A strajk był chyba w 54 ale nie wiem, nie będę się sprzeczał. W każdym razie kopalnie zaczynają strajkować, i u nas czuje się że zaczyna się wzburzenie, oczekiwanie. Grupa Polaków zaczyna się organizować, na każdej kopalni jest grupowy, starsi oficerowie - Józefowicz, Świerczyński, Ptaszyński, p.Król, chyba był Dobrzański - delegat rządu na Wileńszczyznę, nie pamiętam, mał się z nim spotykałem ale chyba był, oni wszyscy prowadzili jakieś rozmowy z przedstawicielami innej narodowości. Na naszym obozie było dwóch księży. Ks Kapusta i Kulczyński chyba. O tym drugim nie chcę wspominać, bo nie zasłużył się dobrze w naszym środowisku, a Kapusta, jak opowiadano pracował jako praczek w łaźni, dla każdego miał miłe słowo, można się było u niego wyspowiadać, jak czasem dostawał paczkę, np. przed świętami dostał kawałek kiełbasy, to podzielił go na sto kawałków i wszystkich częstował, składając wielkancene życzenia. Podobno jego taki był życiorys, że on, w 42 czy 43 roku miał wyjść z armią Andersa jako osoba cywilna i już był na granicy, już podawał przepustkę, i w tym momencie telefonują na wartownię: granica wstrzymana dla Polaków. Proponowali jemu żeby poszedł do armii Bellinga na kapelana, on odmówił, to przyczepili się do niego, dali mu 10 lat i przyjechał do nas na Workutę.

Ale wracając do lat 50-tych. Dowiadujemy się, że ciągle stają coraz nowe kopalnie - aż wreszcie stanęła i nasza. Tzn zespół trzech kopalni: 12, 16, 14. U nas było tzw. szacht-uprawlenie takie jakby zjednoczenie. Trzy kopalnie podlegały jednemu zarządowi. Był naczelny mechanik, naczelnik szachtuprawlenia i reszta stanowisk dotyczyła pojedynczych kopalń. Ten strajk był w lecie. Powstał komitet strajkowy, z Polaków należeli chyba do niego Król i Ptaszyński, komitet zarządził że do kopalni zjeżdżają tylko służby zabezpieczające /żeby nam nie zarzuceno sabotażu/. Pilnowanie prawidłowej wentylacji, odpompowywanie wody. Chodziło o zabezpieczenie centralnych urządzeń górniczych - jak pompownia, wentylacja, która zapewniała także odgazowanie kopalni: zawsze musiały być minimum dwa szyby wentylacyjne - jednym tłoczono powietrze, drugim ono uchodziło. Były określone normy - na pewną ilość ludzi, na pewną ilość m³ chodnika - taka i taka objętość powietrza musi być wtłoczona.

No więc wyznaczano - na kopalnię - dwóch elektryków, jednego gazzamierszczyka, wszystko po to, aby wszystkie urządzenia były sprawne, nadawały się do natychmiastowego ponownego uruchomienia i żeby nie było można posądzić nas o sabotaż. Ja, jako elektryk, miałem dwukrotnie w czasie strajku wyznaczoną szych tę. Bardzo to silnie przeżywałem: było cicho, spokojnie, ani żywego ducha i szalony kontrast między tym sztucznym spokojem a tym co w nas, no bo nie wiedzieliśmy, co nas jutro czeka. Wolni, którzy do nas przychodzili byli przerażeni - jak to, w Związku Radzieckim, strajk? Tam przez sen bano się o czymś takim myśleć.

W pierwszych dniach władze bbozowe próbowały eliminować przywódców. Zamknięto ich w izolatorze, który znajdował się na terenie obozu, ale wejście miał spoza tego terenu. Wtedy utworzył

xsie komitet strajkowy, który miał za zadanie utrzymać w obozie porządek. W tym Komitecie czołowe role odgrywali Polacy Ptaszyński, Król, Świerczyński był, i inni. Pogoda wtedy była ładna, to chyba był lipiec, nasz obóz leżał na skłonie górki nad rzeczką, i wszyscy oczekiwali przybycia komisji z Moskwy. Na 8-my czy na 9-ty dzień ogłosili przez megafony, że następnego dnia przyjedzie komisja, która rozpatrzy nasze prośby. Był tam plac, takie boisko sportowe, wszyscy się tam zebrali, obóz był oczywiście obstawiony, pełno żołnierzy, karabiny maszynowe, koło wartowni parę postawionych stolików, ja byłem w jednym z pierwszych szeregów, wszedło paru generałów z lampasami, kilkunastu pułkowników, komendant obozu ich przedstawił jako komisję partyjno-rządową która na miejscu rozpatrzy problemy więźniów związane ze strajkiem, na czele tej delegacji był chyba generał Maslinkow, generalny prokurator był chyba wtedy Rudenko a ministrem spraw wewnętrznych Krugłow, ten nasz był jego zastępcą. Generał kulał na jedną nogę, zaczął się przechadzać, wreszcie mówi, że nie jest możliwe rozmawiać ze wszystkimi, macie na pewno utworzony jakiś komitet reprezentujący określone grupy narodowościowe i potrafi w ich imieniu przedstawić postulaty. Więc występowali Rosjanie, Łotysze, Litwini, ale najbardziej utkwiła mi w pamięci wypowiedź jednego Rosjanina, który opowiedział, że walczył z Niemcami i ciężko ranny dostał się do niewoli. Długo leżał w szpitalu, potem trafił do obozu jenieckiego skąd odbili go Rosjanie i dalej walczył, zdobył nawet kilka medali. I kiedy wojna się skończyła, został aresztowany za zdradę ojczyzny, a ten który go przesłuchiwał zarzucił mu że leżąc w szpitalu nie próbował przegryźć gardła jakiemuś Niemcowi: byłoby o jednego mniej. I dostał się do łagru. Mówi dalej ten Rosjanin: jako dziecko

wykradałem matce ostatnie pieniądze na MOPR - to chyba był skrót międzynarodowej organizacji pomocy komunistom, wychowany byłem w komsomole, potem byłem komunistą, poszedłem na front, walczyłem, jak mogłem - i za to łagier. Bo Rosjanie mieli takie prawo, że żołnierzowi nie wolno się poddać, nie wolno trafić do niewoli.

Jakoś to poskutkowało bo na drugi dzień jego z tego obozu zabrali.

Nasz występował lekarz, Zwinogrodzki. Upominał się o prawo do kontaktów z rodziną, którego nie odmawiano nawet Niemcom - przeciwnikom wojennym a odmawiano Polakom. Poza tym już w tym czasie wszystkich obywateli z państw socjalistycznych pozabierano z obozu, zostali tylko Polacy. Zabrano nawet Niemców, którzy byli przywiezieni z Berlina.

Ten generał wszystkiego wysłuchał, a potem nam powiedział, że chyba rozumiemy, że wszystkich dzisiaj wypuścić nie można. Jest to technicznie niemożliwe ale też z powodów psychologicznych - wszyscy w obozie są w izolacji od co najmniej 10 lat muszą się przystosować do normalnego życia. I mówi - dzisiaj tyle mogę wam powiedzieć: możecie zdjąć numery katorżnicze, możecie nosić cywilne ubrania, pomału będziemy was przygotowywać do normalnego życia a w przyszłości przyjedzie komisja, która rozpatrzy po kolei wszystkie jednostkowe wypadki. I prosił, żeby wrócić do pracy, bo porzucenie pracy może być traktowane jako sabotaż. Węgiel jest potrzebny ojczyźnie.

Na drugi dzień ludzie zaczęli się wahać - inne kopalnie, tam gdzie on był wcześniej, wznowiły pracę, na z komitet strajkowy zdecydował że osiągnęliśmy cel i poszliśmy do pracy. A na wzgórzu była kopalnia 29. W prostej linii od nas było to z 5 km, nie więcej, widać było, jak po górkach pojechały tam samochody, i nagle zaczęła się strzelanina - ogień ciągły

przez 2-3 minuty. I potem masy samochodów. Wg tego, co sły-
 szałem, tam zginęło ponad 50 ludzi, dużo było rannych, potem
 przyjechała służba sanitarna z całego okręgu Workuty, rannych
 odwozili i obóz przeszkakowali tzn część wywieźli, żeby zmniej-
 szyć skład społeczny, żeby zniszczyć jedność.

A u nas po tym strajku każdy oczekiwał że pewnie też będzie
 czystka - przecież oni nie darują- i rzeczywiście wielu Po-
 laków poszło na etap do obozu karnego, m.in. Zwinogrodzki,
 Bauer, Zarzycki, Król, Ptaszyński.

Zaczął się oczekiwanie na dalsze złagodzenie rygoru obozo-
 wego. Przedtem, fundusz płac z ministerstwa górnictwa był
 przelewany na ministerstwo spraw wewnętrznych. Wtedy - zaczę-
 li częściowo płacić pieniądze, otworzyli sklepy na terenie
 obozu i kopalni, i otworzyli stołówkę komercyjną, tam można
 było coś zjeść, jakieś ciastko, kawę czy herbatę wypić, potem
 oddzielili ok. 1/3 obozu, przerzucili część górników do tej
 zony, ci z tej zony dostawali przepustki i chodzili do pracy
 bez konwoju, i raz na 10 dni mieli prawo na przepustkę je-
 chać nawet do miasta. I to była lekka zona. Dalej, wprowa-
 dzili nowum, dawali dowody tymczasowe, z którymi więźni mogli
 mieszkać na roboczym posmołku, nawet sobie sprowadzić żonę
 albo zawrzeć związek małżeński a co dwa tygodnie meldować si-
 e w obozie. Ponieważ administracja zdawała sobie sprawę, że
 straci siłę roboczą, robiła różne ułatwienia, m.in. ten obte-
 kczony reżim, można było budować domki fińskie i tam mieszkać.
 Tak że widać było, po 10 latach, zbliżającą się wolność, tyl-
 ko jeszcze nie było wiadomo, dla kogo ona przyjdzie.

Cały mój pobyt na Workucie ja podzieliłbym na trzy zasadni-
 cze okresy. I okres 38-9 rok - wtedy wszystko się budowało
 więźniowie nie liczyli się jako istoty ludzkie, można było
 ich bezkarnie zabić, zamęczyć, nikt za to nie odpowiadał.
 Panował straszny głód i ludzie masowo umierali. Z głodu, chło-

du z wycieńczenia, ten mróz potworny, czekanie, na ogół parę godzinne na wartownika do i z pracy, jedzenie nie dość że ni wystarczające ale już zimne, bo przynoszone w kowiołku z kuchni. Głód niszczył poczucie osobistej godności, pamiętam że kiedyś w stołówce już błatno poszedł do kuchni i dostał dodatkową miskę kaszy, a taki miał gest, że wszystkiego nie zjadł tylko trochę na dnie zostawił. I niedaleko mnie siedzieli jacyś profesorowie uniwersytetów moskiewskich, bo opowiadali sobie przeszłe jakieś sprawy i widziałem, błatno usiadł obok nich - oni przestali rozmawiać, przestali na siebie patrzeć a obserwowali znikanie kaszy z miski i czekali na moment, kiedy błatno skończy jeść i posunie miskę na środek stołu. W pewnym momencie on posuwa tę miskę - i wyciąga się dwie pary rąk. Jeden złapał tę miseczkę - głowę spuścił, zaczął jeść kaszę, wylizywać, a drugi zaczerwienił się głowę spuścił i poszedł.

Najgorzej było zostawać w domu, jak było wychodne. Po pierwsze człowiekowi dłużyż się czas, nie dostawał nic do jedzenia póki brygada nie wróciła ze zmiany, niektórzy chodzili na bambioszkę, ja też raz spróbowałem, wziąłem duży garnek, bo zawsze dwóch niosło kocioł z zupą a dwóch osłaniało - żeby nikt nie ukradł - wtedy mróz był ze 40 albo i 50°, dwóch przepuściłem pierwszych, doskoczyłem do kotła i jakoś niefortunnie nie udało mi się zaczerpnąć zupy, musiałem sobie ręką pomagać i sparzyłem sobie rękę, potem w baraku jadłem zupę a rękę musiałem wystawiać za drzwi bo strasznie mnie piekła.

U nas budowali wiosną rów, którym miał przechodzić wodociąg. Ten rów nie był zasypany, sował go śnieg, nie trafiłem na gładkę i wpadłem do rowu, głębokiego na dwa metry. Stamtąd nie mogłem się wydostać, buty zgubiłem, musiałem szukać,

był taki moment że straciłem już nadzieję, wydawało mi się, że jak mnie jeszcze trochę przysypie to znajdą mnie dopiero na wiosnę. A przede mną będą wszystkich maltretowali, bo im się więzień nie będzie zgadzał. Ale jakoś w tym momencie ktoś podszedł, wyciągnął mnie, wpadłem do baraku, przynieśli śnieg, zaczęli mnie nacierać, jakoś doszedłem do siebie.

Był też drugi okres. Rosjanie zabrali już tych wszystkich niepolitycznych, jak ich nazywaliśmy, tę szumowinę, tych bandytów i zaczęli ściągać z całej Rosji, z Kołymy, z Archangielska, innych politycznych. Baraki były zamykane na dzień, na noc, nie można było z baraku do baraku wchodzić, ochronę obozu przejęło NKWD - Krasnopogoniki, jak ich nazywaliśmy, a w obozie tylko była ochra. To też zależało od ludzi - u nas w obozie był taki Małkow - to była gnida, do wszystkiego się przyczepiał, znęcał się strasznie nad wszystkimi więźniami. Jego chyba wszyscy na JCzG pamiętali. Potem ośmieszyli go więźniowie, ale to było później, jeszcze wrócę do tego. Ten drugi okres trwał ok. 3 lat, wtedy więźniowie bardziej zespolili się ze sobą, powstały grupy, na czele każdej narodowości stali starsi, doświadczeni, jakby starszyzna, którzy budowali solidarność - wiedzieli, gdzie kto pracuje, czy jest krzywdzony, interweniowali - ale znów poprzez starszyznę innej grupy - nawet trochę zaczęli się przygotowywać na samoobronę - na dwunastej odkryli taki magazynek, było trochę noży, trochę szpikulców, żeby się trochę bronić w razie czego gdyby niszczyli obóz. Wtedy zaostrzyli reżim na kopalni, na każdej kopalni był oficer NGB, popularnie przez nas zwany kum. Były takie przypadki, że np ja, jako elektryk, a już kopalnia się rozbudowała, pojechałem na jakiś tam odcinek, a na każdym odcinku jest telefon i musiałem meldować w dyspozytorni, gdzie się znajduję no i czasem dojechałem gdzieś elektrowozem a tu mi mówią, że dyspozytor dzwonił, że jest :

awaria i trzeba natychmiast jechać gdzie indziej. Zanim tam dojechałem, to już na miejscu awarii był ten oficer i prowadzi dochodzenie: co się stało, dlaczego i kto jest odpowiedzialny.

Potem wprowadzili zarządzenie, że każdy w kopalni obsługujący jakieś urządzenie musiał mieć skończony kurs i był odpowiedzialny. Jeśli urządzenie, za które był odpowiedzialny się psuło, oficer przeprowadzał rozmowę. Bo wszędzie się dopartywali sabotażu. Bywały też oczywiście wypadki, że np przebili kabel wysokiego napięcia, urządzenie zniszczyli, i to tak trwało do momentu śmierci Stalina i do upadku Berii.

Ten trzeci okres, jak gdyby przygotowawczy, do wyjścia, do zwolnień, i zaczęli wtedy przyjmować na kopalnię wolnych obywateli - obsadzali ich na podstacjach, na wentylatorze, nawet kobiety przychodziły pracować. Ci ludzie zaczęli nawet z Rosji przyjeżdżać, bo wtedy zaczęli tę zonę Warkuty - jak by to nazwać - odtajniać. Zdawali sobie sprawę, że lada chwila stracą siłę roboczą i przygotowywali sobie nowy nabór. W tym czasie zaczęli spowrotem wrzucać do obozu tych błatnych No, może raczej tzw. zekowców - takich, którzy byli po 3 lat po 5, np za pijaństwo. Do nas do obozu przyszedł elektryk, który był dość życzliwy dla Polaków, bo służył w bazie wojennej w Swinoujściu. Został zwolniony z wojska, przyjechał do domu tam popił, jak to zwyczajnie bywa, potem z sąsiadem się pokłócił - zanim otrzeźwiał, to dostał 3 lata i przywieźli jego na Warkutę.

Drugi był u nas w brygadzie, który służył na jakimś okręcie stacjonującym w Swinoujściu, a ponieważ jego ojciec tutaj siedział, to on z wojska ~~xxxxx~~ zamiast jechać do kółchozu przyjechał do ojca i został zwerbowany na pracownika na Warkutę. Na Warkucie pracownicy wolnonajemni dobrze zarabiali mieli tzw dodatek północny a po 3 latach mógł on wynieść 100 % zarobku zasadniczego.

- Ale zarobki to jedno, a zaopatrzenie?

- Zaopatrzenie było lepsze niż w Moskwie. Tam wszystko trzeba było dowozić i zaopatrzenie było bardzo dobre, za wyjątkiem wódki, której nie nadawali przywozić. Ile by tej wódki nie było, zawsze natychmiast była wykupiona. Tam wódki nie pili kieliszkami tylko szklankami, a jak szklankę wypił i przeszedł się do kolegi kawałek po 40-50 stopniowym mrozie - to szybko trzeźwiało.

Ja w 55-56 roku zarabiałem 56 rubli. Taka była stawka elektryka bez premii. A kilo masła kosztowało eksportowego 30 rubli, renifera mięso - 25 rb, obiad - w stołówce, średni, 10 rb, a jeśli chcieliśmy trochę zaoszczędzić, ja mieszkąłem wtedy w hotelu robotniczym to odkładaliśmy 500 rb i jeden dzień jeden obiad gotował, drugi dzień drugi i tak na zmianę.

A potem do jednego przyjechała żona, gotowała dla męża i dla syna i gotowała też dla mnie: wtedy płaciłem 300 rubli za miesięczne obiady.

Ale mówiłem, że zaczęli wrzucać batawików. Raz wrzucili setkę, oni przyszli na stołówkę i zaczęli się tam rządzić. A ponieważ każdy z nas już po 10 lat siedział, chłopcy się skrzyknęli, zrobiła się solidarność międzynarodowa, dobre im manto spuścili. Władze obozowe zmieniły wtedy front: w pierwszym okresie sprzyjały batawikom, a nienawidziły politycznych, to w trzecim okresie już zaczęły patrzeć przez palce; już się im te batawiki przestały podobać. Co było charakterystyczne dla obozu radzieckiego: otóż do tego obozu nie miał prawa wejść strażnik, ani w ogóle żołnierz z bronią. Przypuścimy - kogoś, jakiegoś błatnego, chcieli wziąć na etap, przyszło z 15 tych z Ochry, a on stanął w kącie z dwoma nożami i powiedział: komu, psy, życie niemiłe, to podchodźcie. I odważnego nie było, żeby podszedł. To dopiero po dwóch dniach wezwali

jego na kopalnię, bo on tam miał dziewczynę, niby to kolega go wezwał, no i jak wyprowadzili go za żonę, to tam już konwój mógł zrobić, co chciał. Od razu mówiono: krok w prawo, krok w lewo, jeśli nie wykonasz mojego polecenia - strzelam bez uprzedzenia. On znał ten przepis, i tam już był potulny: i stamtąd jego zabrali na etap.

Potem znów nam rzucili chyba 150-ciu - i te - zrobili burdę w stołówce, więc nasi zapędzili ich do baraku, w którym nowi odbywali kwarantannę, zamknęli ich na drut i chcieli barak podpalić. Przyleciał oficer KWCz i prosił naszych, żeby nie podpalali, więźniów nie szkoda, tylko baraku i ja za ten barak pójdę siedzieć. Jak diametralnie zmienił się stosunek strażników do więźniów politycznych.

Wtedy na wartowni wybudowali pomieszczenia jakby hotelowe i niektórym więźniom pozwalano na wizyty rodzin. Jak zaczęli rzucać tych złodziejasków, tych batawików, to przychodzi do mnie do baraku taki jeden, dużego wzrostu i mówi, że chce do nas przyjść do pracy. Ja jestem złodziej /no, to było widać/, ale ja chcę nauczyć się fachu i inaczej żyć. No, myślę sobie, tyle lat miałem spokój, a teraz nie przyjąć jego, to kłopoty pewne, w kopalni będę musiał ostrożnie chodzić, bo zawsze może coś spaść na głowę. Nie przyjąć jego - to też kłopot. Ale mówię, słuchaj, czemu ty przychodzisz z tym do mnie. Ale on uparł się: na głupiego mi nie wyglądasz, skoro do ciebie przychodzę, to wiem, że jedno twoje słowo - i będę pracował w tej brygadzie. No, dobrze, mówię, idziemy na kopalnię. Z rana pytam, czy zjadł śniadanie. Okazuje się, że nie zjadł, bo jeszcze nie przekazano jego racji żywnościowej do naszej ekipy, zaprosiłem go do komercyjnej na śniadanie, jak zarobi to mi odda, a na kopalni poszedłem do mechanika, powtórzyłem mu ca-

łą rozmowę i poprosiłem, żeby przyjęli nowego do brygady albo żeby mnie dali na etap, bo ja tu życia miał nie będę. Mechanik poszedł do inżyniera, a inżynier powiada: u was zawsze w brygadzie albo kurwa, albo złodziej, ale jak Żorka /tak mnie nazywali/ chce go wychowywać, to go bierzcie.

No i przyszedł on do pracy, mechanik dał nam pracę: ustawienie takiego wyciągu, podłączenie, trzeba było trochę wykopać, on przyszedł i mówi: w życiu nigdy nie pracowałem. Ale daje słowo - a jak oni dali słowo, czestnyje, jak mówili, te dotrzymywali zawsze, ten, który złamał dane słowo stawał się suką - i zaczął pracować. Przyszedł mechanik i przygląda się z satysfakcją na złodzieja, który nigdy nie pracował a tu tak ciężko haruje. Wreszcie mój złodziej pokazał mi, że już ma bąble na rękach, więc ja macham na mechanika, żeby odszedł, że my sobie skończymy tę robotę. Ten mój zdjął górniczy kask i aż się zadziwił: pierwszy raz w życiu tak pracuje. A ta praca jest ciężka, ale będę pracował. I tak jakoś - on mnie polubił ja się z nim zaprzyjaźniłem, i zaczął mi opowiadać swoje historie.

- Ale on się zszuczył przecież, jemu wyrok groził.

- Nie. Prawdziwy złodziej ma prawo pracować. On tylko nie ma prawa kogoś zmuszać do pracy. Nie wszystkie też prace może wykonywać. U nich był kodeks. M.in. - wszystkiego nie pamiętam: ma prawo pracować fizycznie. Nie ma prawa pracować na kuchni. Bo wszystkich nie nakarmi, a nie ma prawa innemu złodziejowi odmówić jedzenia. Nie ma prawa być elektrykiem. Bo jeśli jego kolega dokona próby ucieczki przetnie druty i zgasi światło, to podczas naprawiania światła wartownik może spostrzec uciekiniera i go zabić. Nie wolno w żaden sposób przyczyniać się do ewentualnej zguby kolegi. Nie może być brygadziwą: nie może nikogo zmuszać do pracy. Ale sam ma

prawo pracować.

Ten Walke zaczął mi opowiadać o sobie. Jego matka, dość wyso-
ko partyjnie postawiona, w Leningradzie, ^{z nim żyła} w czasie blokady,
żeby przeżyć, on jako młody chłopak zaczął kraść. Potem też
za dobrze nie było, i dalej kradł. Wreszcie go złapali na ja-
kiejś kradzieży, dali mu parę lat, i pośadzili go w obozie
gdzieś w Estonii. A w więzieniu wtedy była taka kadra, która
strasznie znęcała się nad więźniami. A złodzieje znają prawo
lepiej niż jakiś prokurator. Zdecydowali więc, że trzeba coś
takiego nadzwyczajnego zrobić, żeby spowodować przyjazd komi-
sji z Moskwy. Postanowili więc zwabić podstępem do celi straż-
nika, zabić go i wtedy musi przyjechać komisja. Ale ten, któ-
ry będzie zabijał, nie weźmie tego na siebie. Więc podstawili
młodziutkich chłopaków, którzy mieli pierwsze wyroki: było
wiadomo, że takim za dużo nie dadzą. Więc swoje głowy uchroni-
li i spowodują przyjazd komisji. Wszystkie było zaplanowa-
ne - kto się przyznaje, a kto nie wie. Ukręcili więc głów-
kę dwóm strażnikom, zabarykadowali się, przyjechała komisja,
udowodniono, że tam były nadużycia, a wyznaczonych winnych
przywieziono na Workutę, dostali po 10 lat. ~~XXXXXXXXXXXXXXXXXXXX~~

Pracowaliśmy już jakiś czas z Walką razem, kiedy mi mówi,
że matka do niego przyjedzie. A w tym czasie na kuchni komercyjnej
pracował mój znajomy, Polak, namówiłem go, żeby zrobił
dobry tort, nie na margarynie, a na maśle i postanowiłem
przemycić się z tym tortem na wartownię.

Matka przyjechała, jeden, drugi dzień rozmawiają, ale ile
można rozmawiać. Więc Walke chce mnie zapoznać z matką. I po-
prosił matkę, żeby przyniosła z ęwiartkę spirytusu. I proszę
sobie wyobrazić partyjną, która ma przemycić spirytus a podpi-
sała, że jest świadoma, że za kontakt z więźniami grozi jej
25 lat. Ale jak to matka, Walke ją namówił, powiedział jak

to zrobić, ona przyniosła trochę tego spirytusu, a ja jakoś tak się przemyciłem, przyniosłem ten tort, oczywiście pocałowałem ją w rękę, zaczęliśmy rozmawiać, dość dobre na niej wrażenie zrobiłem, ona mnie prosiła, żebym jej chłopcu pomógł wyciągnąć się z tego bagna, żeby on się nauczył zawodu, obiecałem jej to. Potem ona dopiero mówi do syna: to nam mówią że tu sami wrogowie lufu siedzą, a tu najwarłowskiwszy element, tych z wolności trzeba by było wszystkich posadzić.

Kiedy reżim obozowy zelżał, zaczęło z Moskwy przyjeżdżać dość dużo komisji. Kiedyś tak siedzę sobie na stołowie, dają rybę, ale że była zgniza, nie można jej było usmażyć, to kucharz zrobił kotlety. Ale nie do jedzenia. Koło mnie siedzi paru banderowców a tu nagle wchodzi komendant obozu, jakaś szarża, pułkownik, jeden, drugi, trzeci, komendant mówi, że przyjechała komisja z Moskwy, czy są jakieś pytania, jakieś skargi, i jeden z tych banderowców mówi: pbywatelu pułkowniku, ja pracuję dla ojczyzny, daję węgiel, a tu takie jedzenie jest niejadalne, czym oni nas karmią. Więc wołają głównego kucharza, a tam taki zwyczaj był, że na czarnej tablicy kredą było wypisane co się komu należy, ile tłuszczu, ile chleba itd. Całodzienne menu. Kucharz zaczął tłumaczyć, że wszystko jest w porządku, zgodne z normą a pułkownik spojrzął i pyta: a mogę spróbować te kotlety? I bierze kotlet z miseczki i zaczyna jeść. Ja tylko patrzę, kiedy on rzygnie. A on zjadł, żaden mięsień na twarzy jemu nie drgnął, oblizał się i powiedział, to ja, pułkownik, zjadłem, a ty, więzień, nie możesz? Zdziwił nas. Ale byli szkoleni. Taki kotlet zjeść i nie drgnąć.

Wracając do przemian: za mało górników dawali na tzw wolne posielenje. Wysyłali tylko zasłużonych. i górnicy troszeczkę tam szum podnieśli. A na 1-go Maja /na rocznicę rewolucji

zresztą też robili nam akademie. Chór występował, mieliśmy chór w obozie, zawsze jakieś występy były, śpiewali trochę, grali na harmoniach, i znów wyczytali listę ok. 30 tych jak ich nazywaliśmy produkow, nie górników, w trakcie tego przychodzi naczelnik, naczelnik szachtuprawlenja, kobieta to była, i mówi że minister wydał zarządzenie, że wszyscy, którzy pół roku pracowali w kopalni przechodzą na obroczezonny reżim. Wtedy można było wypisać się z obozowej ewidencji /z baraku, z jedzenia, z ubrania, pieniądze zarobione dostawało się na rękę i można się było stołować na własny rozrachunek. Ja potem dostałem łóżko w hotelu robotniczym, nas tam było chyba sześciu. Tam był taki Polak, spod Mełodeczna, Akowiec, i mieszkał tam też taki rosyjski Żydek, który był wiceministrem dróg, ja zażegnałem konflikt między nimi i ten Żydek widział, że we mnie ma obrońcę. Jak chodziliśmy co 2 tygodnie na zajęcia polityczne to on mi raz mówi, słuchaj, ja dziś temu politrukowi zadam takie pytanie, że on dopiero mi odpowie za dwa tygodnie. Dlaczego, pytam. -Bo on tak jest nauczony, że musi mówić to, co ma napisane, boi się powiedzieć co innego niż to co ma wykute żeby nie pójść siedzieć tu razem z nami. I rzeczywiście - mój kolega zapytał, jaka jest różnica między kołchozem i sowchozem i nasz prelegent zaczął się jąkać i obiecał, że odpowie za 2 tygodnie.

Usłyszeliśmy, że przyjechała na Workutę komisja, która rozpatruje sprawy. Najpierw pojechała na Kapitałkę, zn. na 1-szą kopalnię, potem do nas przyjechała. Zabierali mniej więcej 60 -ciu dziennie. Bo ta komisja urzędowała w domu kultury obok 7-mej kopalni. Byliśmy ciekawi, jak do Polaków będą się odnosili, jak będą podchodzili. O wezwaniu dowiadywaliśmy się przez radiowęzeł dość okrężną drogą: ogłaszano nazwiska tych, którzy następnego dnia nie idą do pracy. I było wiadome, że to po to żeby stanąć przed komisją. Na weryfikację wyroku. Chyba na

trzeci dzień pobytu tej komisji zostałem wywołany. Każdy oficer spędzasti miał przygotowane akta osobiste tych więźniów, którzy byli na dany dzień wzywani, a komisja, która rozpatrywała te sprawy liczyła chyba osiem osób. Ja tam wszedłem, sprawdzili moje dane personalne, przedstawili się: że to jest generał, - przewodniczący komisji partyjno-rządowej, to są członkowie, zaczęli pytać, za co siedzę, jaki był wyrok, ja się zapytałem, dlaczego byłem sądzony za terror - a terror i szpiegostwo to były najgorsze paragrafy - a on na to - no jakże - byliście przecież w partyzantce, zabieraliście bydło, zabijaliście krowy, grabiliście ludzi i dlatego wprowadzaliście terror.

Ja pomyślałem sobie, że trzeba iść na całego, bo mój los leży w ich rękach. Ja - po pierwsze, powiadam, byłem na swoich terenach - mnie dawała matka i znajomi, a materiały śledcze mnie nie udowodniły, że ja komuś zabierałem. I myślę sobie, jak jeszcze coś powie, to dodam, że wszystkim partyzantom radzieckim też trzeba przy zyc terror, bo też zabierali. Ale jakoś on zrozumiał to i dalej o to nie pytał. Potem jeden taki chciał tam zabłysnąć - a im się pomieszało wszystko: akowcy, banderowcy, rozmaite odcienie polityczne - siedział, jak na tureckim kazaniu, i zadaje mi takie pytanie, czy jak mnie wypuszczą, to czy ja będę walczył za Ukrainę.

Czy jak mnie wypuszczą, to czy ja będę walczył za Ukrainę. Pomylił mnie z banderowcem. Ja mówię, po pierwsze, nigdy za Ukrainę nie walczyłem i walczyć nie myślę. A przewodniczący zrozumiał jego gafę: zostaw go, to jest Polak, Akowiec. I podziękował mi. Ja jednak wstając zadałem pytanie mam kontakt z matką, z donką, matka jest w Warszawie, mam wyzyw, jeżeli dacie mi wolność to na jakich prawach będę jechał do Polski? Usłyszałem odpowiedź: my was traktujemy jako obywateli radzieckich i jak was zwolnimy, to będziecie mogli starać się o wyjazd do Polski na ogólnych zasadach obowiązujących obywateli radzieckich. Podziękowałem mu.

Za trzy mniej więcej dni były wyniki. Ogłaszano je przez radiowęzeł. Jeśli powiedzieli, że na kopalnię się nie idzie, że by przyjść do speczasti, to znaczyło, że jesteś zwolniony. A jak wzywali do speczasti po obiedzie to znaczyło, że wyrok został albo zmniejszony albo złagodzony. I pamiętam, przylatuje ten, który służył w bazie Marynarki Wojennej w Polsce w Świnoujściu. Przylatuje i woła: pocałuj mnie, pocałuj mnie. A ja na to: a co ty jesteś, dziewczyna, żebym ja ciebie całował. A poszedł ty w czerty. To on mi mówi, że jutro do pracy nie idę. Aż nogi się podę mną ugięły. Rano idę do speczasti, tam mi załatwiają wszystkie formalności związane ze zwolnieniem. Na drugi dzień mam dostać dowód osobisty. Jako radziecki obywatel. Mnie zwolnili, zdjęli wyrok, jak oni nazywają, tzn ze zdjęciem karalności ale bez słowa rehabilitacja. Rehabilitacji nie dawali, bo musieliby z tego tytułu płacić odszkodowanie, ponosić konsekwencje. A ponieważ wielu ludzi zaczęło odchodzić w tym czasie, to mechanik powiedział, że muszę sobie załatwić pracę na kopalni już jako wolny. Tzn badania lekarskie i inne formalności. Obiecał mi, że te dni, które stracę na badania

policz mi , jakbym pracował w tym czasie a potem wrócę na kopalnię.

Pomyślałem, że to dobry pomysł: po co mi zmieniać pracę, kopalnia wykonywała plan, zarobek był dobry, miałem gdzie spać, a w tym czasie , miałem już wyzyw, będę się starał o wyjazd Polski i potem się zwolnię i wyjadę.

Na jakich zasadach odbywał się wyjazd do Polski po zwolnieniu? Kto miał wyzyw, tj. poświadczenie obywatelstwa polskiego sprzed 39 roku, z dowodem osobistym jechał do Warkuty, składał w milicji dokumenty, oni zabierali dowód, dawali zaświadczenie i wysyłali to do Sekt^y Akwaru /?/. przedtem Moskwa decydowała. I mniej więcej za 3 miesiące przychodziła odpowiedź. Zacząłem pracować na kopalni jako wolny ale od razu zapowiedziałem mechanikowi, że w momencie, kiedy dostanę wiadomość że mogę jechać do Polski to już więcej do kopalni się nie spuszczę. Bo takie były przykre wypadki, że 10 lat chłopak pracował, zwolnił się, zaczął pracować jako wolny, to albo zabiło, albo przetrąciło, albo kości połamało, więc ja - mówię - więcej nie będę się spuszczał.

Kiedy zacząłem pracować jako wolny, praktycznie nic się nie zmieniło. Czekałem na wiadomość o wyjeździe. W tym czasie ranni zaczęli wyjeżdżać masowo do domów, do siebie. Ja z Polaków to chyba 3^{ci} czy 4^{ty} jechałem.

Pojechałem do miasta a tam taki kapitan był, który prost mówił że bez łapówki nie da zaświadczenia bo chce sobie zarobić.

A jak ktoś chciał jechać - ludzie się starali wyjeżdżać w grupach - po 3 po 4, żeby było różniej, podróż trwała kilka dni. Wesołej jest, a wtedy zaczęły się rozruchy na Węgrzech, czasy były niespokojny, więc wsadziłem temu kapitanowi 100 rubli, drugi mu dał, dostaliśmy te zaświadczenia - a trzeci dał -

i nic nie dostał. I kapitan kazał nam jeszcze przyjść po dniu, że będzie jeszcze miał korespondencję. Nas jechało trzech: Pietraszko, Słoński, trzeciego nie pamiętam nazwiska ja.

Pozegnaliśmy się z całą Polonią, z tymi, którzy zostawali i ja jadę do Polski. Przychodzę na stację, kupiliśmy już sobie bilety, do Grodna, bo więcej nie dawali, idziemy do wagonu, a to już był listopad, dosyć zimno, mróz był chyba z 30°, i na peronie stoją w waciakach: towarzyszc grażdanin, waszy dokumenty. Pokazałem mu kartę repatriacyjną a kolegom mówię, żeby szli do wagonu, nie robili zbiegowiska. Zobaczył tę kartę, puścił mnie, wchodzimy do wagonu, to była tak, jak naszykuska, zajęliśmy 4 miejsca, akurat na dole był inwalida, Rosjanin bez nóg, oni tu przyjeżdżali na Workutę na bambioszkę tzn zebrałi na bazarze, a jak siedział na takim mrozie to zawsze te parę rubli zebrał sobie. Tylko pociąg rusza, słyszę polską melodię : cicha woda brzegi rwie. Ujechaliśmy może z 10 kilometrów - a nasz wagon był przedostatni - idzie kontrola. Pięciu. Dwóch stoi a trzech sprawdza. Wszędzie. Pod ławkami, tylko przeszli, może odjechaliśmy ze 100 km, druga partia. Tak że do Inty to chyba z 5 razy przychodzili. Tak, że nawet mysz by się nie prześlizgnęła, bo uciec można było tylko pociągiem. Jeden mi opowiadał, który przyjechał z Inty, że uciekał. Ale on miał współpartnera, który pracował w wywiadzie radzieckim. I on te wszystkie sztuczki znał. Wiedział, że po ucieczce przez 10 dni trwa alarm. Obstawiają wszystkie drogi, wszystko sprawdzają, czekają. I na trasę, do kontroli w pociągach, wysyłają tych strażników, którzy osobiście znają danego uciekiniera. A ponieważ oni wiedzieli o tym, to uciekli do lasu bo byli w tajdze, jego kolega miał załatwione wszystkie dokumenty bilety, komandirówkę, wszystko, widać ktoś mu dostarczył, i 10 dni przesiedzieli w lesie, potem się ogolili, przebrali

weszli do wagonu i jechali do Rosji. I trzeba trafu, że już gdzieś koło Kirowa chyba z 5 razy im sprawdzali dokumenty i strażnik wysłany, żeby ich szukać i znający ich, gdzieś się opóźnił, zabalował i znalazł się w tym samym pociągu i ich poznał. I zgarnęli ich i przywieźli oczywiście do nas na Workutę.

Ale przyjechaliśmy do Moskwy, w Moskwie wzięliśmy sobie parę dni wolnego, po to, żeby dowiedzieć się w polskiej ambasadzie w Moskwie, jakie będą losy Polaków, którzy jeszcze zostali - zostawiliśmy przecież kolegów. W Moskwie byłem w watówce, specjalnie ubrania nie kupowałem bo zdawałem sobie sprawę, że w Polsce będzie inna moda, miałem parę tysięcy rubli, wzięliśmy taksówkę, przyjechaliśmy do ambasady do pełnomocnika do spraw repatriacji. Wtedy był tzw. pan Kalinowski. Pamiętam jak dziś: bardzo przyjemnie nas przyjął, poczęstował nas papierosami - były wtedy papierosy Wawel - i powiedział dosłownie, że żeby mu podawać nazwiska i adresy, bo często zgłaszamy interwencję na zgłoszenie z Polski do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych ZSRR, to oni mówią, że takich nie ma. A jak się podaje nazwisko i adres, to oni muszą na to inaczej reagować. Zapytał jeszcze, czy potrzebujemy jakiejś pomocy, my podziękowaliśmy, posiedzieliśmy 3 czy 4 dni w hotelu jakimś - tam w ogóle nie można było miejsca w hotelu znaleźć, ale jak się powiedziło, że się jest obcokrajowcem, to jakoś ułatwiali, zwiedziliśmy Moskwę, poszliśmy do GUMu, koło Kremla pochodziliśmy, pojeździliśmy metrem, bo nie wiadomo było czy będzie jeszcze w życiu okazja się przejechać,

Z Moskwy wziąłem bilet do Brześcia i w pociągu jak raz konduktor był Polakiem z Brześcia i wpuścił takich dwóch w watówkach i mówi mi, że to obstawa Gomułki. Bo w tym czasie, jak Gomułka jechał do Moskwy, to ja wracałem z Moskwy, pamiętam że w Grodnie dworzec jeszcze był udekorowany flagami państw

mi.

Oczywiście, jako repatriant mogłem wszystko przewieźć, ale ja nic nie miałem.

Ogromne wrażenie zrobiła na mnie strefa neutralna między granicami. Pełno bagnetów, karabinów, a przyjeżdżamy do nas do Terespola a tam jeden żołnierz, ręce w kieszeniach, drugi z drugiej strony, wchodzą nasi żołnierze, oficerowie, a kto repatriant to nawet nie podchodzili: proszę czekać, przyjdzie po was przedstawiciel. Przyszli po chwili, wysiedliśmy i poprosiłem żebyśmy jeszcze poczekali, to, powiada, będzie jeszcze jeden pociąg, zbiorę państwa i pojedziemy do Białej Podlaskiej na punkt. Ten żołnierz stoi, ręce w kieszeniach, my wszystko chciwie obserwujemy, po tylu latach, ziemię całowaliśmy, pa-trzymy, przechodzi dwóch generałów, a ten żołnierz nawet nie spojrzał w ich kierunku i taki osiowy co sprawdzał wagony powiada: słuchaj, Janek, co ty nie salutujesz, a żołnierz odpowiada jemu, a co ja dla kacapów będę jeszcze ręce wyjmował. Takie było spotkanie na ojczyściej ziemi.

Przyjechaliśmy do Białej Podlaskiej na punkt, tam dawali kart repatriacyjną już, tłok był, spałem na podłodze, dawali bilet i kto był nie za bardzo ubrany to dawali talon na ubranie. Ja skorzystałem bo już było zimno to dali mi talon chyba na 2000, wziąłem sobie jesionkę, i pojechałem już do Warszawy. Siedziało dwóch - chyba z Warszawy - a człowiek zawsze trochę zaciągał - zaproponowali mi zaraz pomoc, chcieli się mną zao-piekować. Ja byłem strasznie nieufny, nie wierzyłem w ich dobre intencje. Drugi się zorientował i powiada: słuchaj, ty nie nalegaj na niego, jak on do matki przyjedzie to jeszcze przez 5 lat matce nic nie powie, a ty chcesz, żeby on ci okazał zaufanie. Ale że jeszcze z Moskwy wysłałem telegram, że przyjeżdżam, wziąłem taksówkę na Wschodnim, przyjechałem do domu. Otwieram drzwi - zostawiłem siostrę 14-letnią - teraz t

kobieta, matka dzieciom, mieszkancko takie malutkie, pokoiczek niecałe 10 m, w starej ruderze, radość z powrotu zmąciła mi wiadomość, że Ojciec nie żyje, był gdzieś pod Archangielskiem potem wstąpił do Armii Andersa, Monte Casaino, zamiast wrócić do kraju został tam i umarł potem na raka krtani.

Zacząło się życie w Polsce na tym kawałku małego pokoju.

Matka z siostrą na waleta, ja stawiałem sobie polówkę, to było mieszkanie wielopokojowe, tam więcej rodzin mieszkało, w tym samym czasie, na trzeci dzień, wrócił syn jednego, we Wrocławach siedział, też Akowiec, z Powstania Warszawskiego. Postanowiłem pojechać na Śląsk: tu nie mam gdzie mieszkać, mieszkania się nie dostanie. Jestem górnik, tyle lat już pracowałem, mam zawód, ale matka zaczęła płakać, że tyle lat mnie nie widziała, żebym został,